

Agatha Christie

Pajęczyna

Adaptacja Charlesa Osborne'a sztuki Agathy Christie "Pajęczyna"

Przełożyła Anna Bańkowska

Tytuł oryginału Spiders web

Rozdział I

Coppleston Court był elegancką wiejską rezydencją z XVIII wieku, użytą obecnie przez Henry'ego i Klarysę Hailsham-Brownów. Dom, położony wśród łagodnych wzgórz Kentu, szczególnie pięknie wyglądał w blasku księżyca, który oświetlał jego fasadę w pewien pogodny, acz chłodny marcowy wieczór. Wewnątrz, w gustownie urządzonym salonie z drzwiami wychodzącymi wprost do ogrodu, znajdowali się dwaj panowie. Uwaga ich była skupiona na stoliku z tacą, na której ustawiono trzy kieliszki porto. Na każdym z nich widniała etykieta z numerem — jeden, dwa i trzy. Obok leżały ołówki i kartka papieru.

Sir Rowland Delahaye, dystyngowany mężczyzna po pięćdziesiątce o wytwornych manierach, przysiadł po chwili na poręczy fotela. Starszy o kilka lat Hugo Birch, odznaczający się nieco krewkim temperamentem, zawiązał mu oczy i wsunął do ręki jeden z kieliszków. Sir Rowland pociągnął łyk, zastanowił się przez chwilę i orzekł:

— Myślę, że... tak, z całą pewnością: Dow, rocznik czterdziesty drugi.

Hugo zabrał kieliszek. Odstawił go na stolik i zapisał werdykt na kartce, powtarzając sobie po cichu: "Dow, czterdziesty drugi", po czym wręczył przyjacielowi następną próbkę.

Sir Rowland ponownie upił łyk i skinął aprobująco głową.

— No tak — rzekł z przekonaniem. — To rzeczywiście doskonałe porto. — Pociągnął jeszcze jeden łyk. — Cockburn dwudziesty siódmy. — Oddał kieliszek Hugonowi i mówił dalej: — Że też Klarysa marnuje butelkę cockburna z dwudziestego siódmego na takie eksperymenty! To czyste świętokradztwo. Ale co zrobić, kobiety zupełnie nie znają się na porto.

Hugo zanotował wynik i podał mu trzeci kieliszek. Już po pierwszym łyku nastąpiła błyskawiczna i gwałtowna reakcja:

— Faj! Mocne wino "w typie" porto. Jak można trzymać w domu takie paskudztwo!

Opinia została skrupulatnie zapisana, po czym sir Rowland zdjął z oczu chustkę i odłożył ją na oparcie fotela.

— Teraz twoja kolej — zwrócił się do Hugona.

Ten zdjął okulary w rogowej oprawie i pozwolił zawiązać sobie oczy.

— No cóż, pewnie Klarysa doprawia tym sikaczem zajęcia albo zupeł. Nie sądzę, by Henry pozwolił podawać go gościom.

— Proszę bardzo, gotowe! — Sir Rowland zakończył wiązanie węzła. — Powiniennem teraz

okręcić cię trzy razy jak w ciuciubabce — dodał, podprowadzając Hugona do fotela i obracając go tak, by mógł usiąść.

— No, no, uspokój się, stary — zaprotestował tamten, szukając ręką siedzenia.

— Już? — spytał sir Rowland. — Już.

— A więc przestawiam kieliszki.

— Nie trzeba, Roiły. Myślisz, że tak łatwo dam ci się zasugerować? Jestem nie gorszym znawcą porto od ciebie, mój chłopcze.

— Nie bądź taki pewny. Ostrożności nigdy za wiele — obstawał przy swoim sir Rowland.

Właśnie wyciągał rękę po pierwszy kieliszek, kiedy w drzwiach ogrodowych pojawił się trzeci gość, Jeremy Warrender. Był to przystojny dwudziestoparoletni młodzieniec w deszczowcu narzuconym na garnitur. Z trudem łapiąc oddech, podszedł prosto do sofy i już miał na nią opaść, gdy zauważył, co się święci.

— Co ja widzę, panowie? — spytał, ściągając płaszcz i marynarkę. — Gracie w trzy karty kieliszkami?

— Co jest? — chciał wiedzieć oślepiiony Hugo. — Czy ktoś wpuścił tu psa?

— To tylko młody Warrender — uspokoił go sir Rowland. — Zachowuj się, stary!

— Och, miałem po prostu wrażenie, że jakiś pies ściga królika.

— Trzy razy ganiałem w makintoszu do bramy i z powrotem — tłumaczył się Jeremy, opadając wreszcie na sofę. — Podobno herzosłowacki minister pokonał ten dystans w cztery minuty pięćdziesiąt trzy sekundy. Ja się starałem, jak mogłem, ale nie udało mi się osiągnąć lepszego wyniku niż sześć minut dziesięć sekund. Poza tym nie wierzę w ten cud; tylko Chris Chataway wyrobiłby się w takim czasie w płaszczu albo bez.

— Kto panu naopowiadał o herzosłowackim ministrze? — zainteresował się sir Rowland.

— Klarysa.

— No tak! — zachichotał sir Rowland.

— Klarysa! — prychnął Hugo. — Kto by jej słuchał!

— Obawiam się, Warrender, że nie znasz pan zbyt dobrze naszej gospodyni — ciągnął sir Rowland, wciąż krztusząc się od śmiechu. — Ona ma nadzwyczaj bujną wyobraźnię.

Jeremy zerwał się z sofy.

— Chce pan powiedzieć, że sobie to wymyśliła? — spytał z oburzeniem.

— Cóż, to niewykluczone. — Sir Rowland podał Hugonowi jeden z kieliszków. — Tego rodzaju żarty są zupełnie w jej stylu.

— Naprawdę? No, niech ją tylko zobaczę! Usłyszy ode mnie parę ciepłych słów. Ależ jestem wykończony!

Wyszedł do hallu, powiesił płaszcz i wrócił.

— Przestań pan sapać jak mors! — upomniął go Hugo. — Próbuję się skoncentrować. Założyłem się z Roly o piąta.

— Tak? A o co chodzi? — spytał Jeremy, przysiadając na poręczy sofy.

— O to, kto lepiej zna się na porto. Jest tu cockburn z dwudziestego siódmego, dow z czterdziestego drugiego i specjał lokalnego producenta. Teraz cisza, to ważne. — Pociągnął łyk z kieliszka i mruknął dość obojętnie: — Uhm.

— No? — dopytywał się sir Rowland. — Już się zdecydowałeś?

— Nie poganiaj mnie, Roly, to nie bieg przez płotki! Następny!

Wziął podany kieliszek lewą ręką, nie oddając poprzedniego. Spróbował i dopiero wtedy obwieścił:

— Tak, co do tych dwóch nie mam wątpliwości. — Powąchał jeszcze raz zawartość obu kieliszków i oddał je przyjacielowi. — Pierwszy to dow, drugi cockburn.

— Numer trzy — dow, numer jeden — cockburn — powtórzył sir Rowland, zapisując wynik.

— Cóż, chyba nie trzeba próbować trzeciego, ale ostatecznie...

— Proszę bardzo — zgodził się sir Rowland, wręczając mu ostatni kieliszek.

Wystarczył jeden łyk, by Hugo zatrzęsł się z oburzenia:

— Brr! Co za niewypowiedziane świństwo! — Oddał kieliszek, wyjął chustkę i otarł starannie usta. — Godzina minie, nim pozbędę się tego smaku. Roly, zdejmij mi przepaskę!

— Ja to zrobię — ofiarował się Jeremy, gdy tymczasem sir Rowland z namysłem badał zawartość trzeciego kieliszka.

Hugo schował chustkę do kieszeni.

— Ha! Straciłeś podniebienie, Roly! — oświadczył.

— Może ja też spróbuję — zaproponował Jeremy. Podszedł do stołu i upił po łyku z każdego kieliszka. Zastanowił się przez chwilę, po czym ponowił próbę i orzekł:

— Jak dla mnie, wszystkie smakują jednakowo.

— Wy, młodzi! — fuknął Hugo. — To wszystko przez ten przeklęty gin, który ciągle żłopiecie, rujnąc sobie podniebienia. Nie tylko kobiety nie doceniają porto. Dziś żaden mężczyzna przed czterdziestką nie wie, co pije!

Zanim Jeremy zdążył zareplikować, otworzyły się drzwi do biblioteki i stanęła w nich Klarysa Hailsham-Brown, piękna, ciemnowłosa kobieta w wieku około dwudziestu ośmiu lat.

— Witajcie, kochani — zwróciła się do starszych panów. — Zdecydowaliście już?

— Tak, Klaryso — odparł sir Rowland. — Jesteśmy gotowi.

— Wiem, że mam rację — obstawał przy swoim Hugo. — Numer jeden: cockburn, numer dwa: świństwo, które udaje porto, numer trzy: dow. Zgadza się, czyż nie?

— Moi złoci! — Gospodyni ucałowała kolejno obu panów, po czym poprosiła: — Niech jeden z was odniesie tacę do jadalni. Na kredensie stoi karafka... — Uśmiechając się do siebie, podeszła do stolika i wzięła z pudełka czekoladkę.

Sir Rowland posłusznie podniósł tacę i skierował się do wyjścia. Nagle przystanął.

— Karafka?... — spytał podejrzliwie.

— Tak, tak. To jedno i to samo porto — wyznała Klarysa ze śmiechem, podciągając nogi.

Rozdział II

Na oświadczenie Klarysy każdy z zebranych zareagował w odmienny sposób. Jeremy parsknął śmiechem i ucałował gospodynię. Sir Rowlandowi opadła szczeka ze zdumienia, Hugo zaś nie mógł się zdecydować, jaką zająć postawę wobec kobiety, która ich obu wystrychnęła na dudka. Wreszcie sir Rowlandowi wróciła zdolność mówienia.

— Klaryso, ty oszustko bez zasad! — powiedział nie tylko nie urażonym, ale wręcz czułym tonem.

— No cóż — odparła — taki paskudny, mokry dzień, nie mogliście zagrać w golfa, musiałam obmyślić wam jakąś rozrywkę... Bo przecież mieliście z tego dobrą zabawę, kochani, czyż nie?

— Na mą duszę! — wykrzyknął sir Rowland, zmierzając z tacą ku drzwiom. — Powinnaś się wstydzić! Żeby takie żarty robić sobie ze starszych ludzi! Wygląda na to, że jeden Warrender odgadł prawdę.

Hugo, który także już się śmiał, odprowadził przyjaciela do drzwi.

— Kto to był? — spytał, kładąc mu rękę na ramieniu. — Kto to mówił, że wszędzie pozna cockburna z dwudziestego siódmego?

— Mniejsza o to, Hugo — westchnął z rezygnacją sir Rowland i wyszli obaj do hallu, zamykając za sobą drzwi.

Jeremy odsunął się od Klarysy i spojrzał jej oskarżycielsko w oczy.

— No? Jak to było z tym herzosłowackim ministrem?

Zrobiła niewinną minę.

— Nie rozumiem?

Jeremy przemówił głośno i dobitnie, wysuwając w jej stronę palec:

— Czy rzeczywiście pokonał trzykrotnie drogę do bramy w czasie czterech minut pięćdziesięciu trzech sekund? I to ubrany w makintosh?

Klarysa uśmiechnęła się słodko.

— Herzosłowacki minister jest uroczym człowiekiem, ale ma dobrze po sześćdziesiątce i przypuszczam, że od wielu lat nigdzie nie biegał.

— Więc wymyśliłaś sobie to wszystko. Tak właśnie mi powiedzieli. Ale dlaczego?

— Wiesz... — uśmiech Klarysy stał się jeszcze słodszy — cały dzień narzekałeś, że masz za mało ruchu, więc chciałam ci po prostu oddać przyjacielską przysługę. Przecież gdybym ci kazała pobiegać po lesie, nie posłuchałbyś. Wiedziałam jednak, że nie oprzesz się wyzwaniu, toteż wymyśliłam kogoś, z kim zechciałbyś się zmierzyć.

Jeremy wydał komiczny jęk rozpaczy.

— Klaryso! Czy ty kiedykolwiek mówisz prawdę?!

— Oczywiście... czasami. Ale wtedy nikt mi jakoś nie wierzy. To bardzo dziwne. — Zamyśliła się przez chwilę. — Wydaje mi się, że gdy raz zaczniemy blagować, zapominamy o rzeczywistości i dzięki temu stajemy się bardziej przekonujący.

Wstała i podeszła do ogrodowych drzwi.

— Mogła mi pęknąć jakaś żyłka — poskarżył się Jeremy. — Dużo by cię to obeszło...

Klarysa się roześmiała. Otworzyła okno i wyjrzała do ogrodu.

— Rzeczywiście się przejaśniło. Zapowiada się ładny wieczór. Jak cudownie pachnie ogród po deszczu... To te narcyzy.

Kiedy znów zamykała okno, Jeremy podszedł do niej blisko.

— Czy naprawdę tak lubisz życie na wsi? — zapytał.

— Uwielbiam.

— Ale przecież tu można zanudzić się na śmierć! W twoim wypadku to czysty absurd, przecież musi ci strasznie brakować teatru. Słyszałem, że kiedyś go uwielbiałaś.

— Owszem. Ale udało mi się tu stworzyć własny teatr.

— W Londynie żyłoby ci się znacznie ciekawiej. Znów się zaśmiała.

— Pewnie masz na myśli przyjęcia i nocne kluby?

— Właśnie, przyjęcia. Byłabyś taką cudowną gospodynią! Odwróciła się do niego twarzą.

— Mówisz jak bohater edwardiańskiej powieści. Zresztą przyjęcia dyplomatyczne są okropnie nudne.

— Ale ty się marnujesz w tej dziurze — upierał się Jeremy, podsuwając się jeszcze bliżej i próbując ująć jej dłoń.

— Ja? Ja się marnuję? — Klarysa wyszarpnęła mu rękę.

— Tak! — wykrzyknął żarliwie Jeremy. — W końcu ten Henry...

— Co Henry? — Odwróciła się i zaczęła wyklepywać poduszkę na fotelu.

Jeremy wpatrywał się w nią uporczywie.

— Nie mogę pojąć, czemu w ogóle za niego wyszłaś! — wybuchnął w przyływie odwagi. — Jest o całe lata od ciebie starszy, ma córkę w wieku szkolnym... — Wyciągnął się na fotelu, nadal nie spuszczać jej z oka. — To niewątpliwie wspaniały człowiek, ale ze wszystkich tych nadętych bufonów... Toż on wygląda jak gotowana sowa i... — Urwał, a nie doczekawszy się reakcji, podsumował: — Jest nudny jak flaki z olejem.

Nadal się nie odzywała, więc spróbował jeszcze raz.

— Nie ma za grosz poczucia humoru — mruknął, nieco zbity z tropu.

Odpowiedzią znów był tylko uśmiech.

— Pewnie uważasz, że nie mam prawa wygadywać takich rzeczy?

Przysiadła na skrawku taboretu.

— Och, wszystko mi jedno. Możesz gadać, co ci się podoba.

Jeremy usiadł obok.

— Więc przyznajesz, że popełniłaś błąd?

— To wcale nie był błąd — odparła łagodnie. — Słuchaj, Jeremy, czy ty mi robisz nieprzyzwoite propozycje?

— Zdecydowanie tak.

— Jakie to urocze! — Szturchnęła go łokciem. — Mów dalej, proszę.

— Chyba wiesz, co do ciebie czuję — ciągnął z lekkim rozdrażnieniem. — Ale ty po prostu się mną bawisz, prawda? Flirtujesz. To tylko jedna z twoich gier. Kochanie, czy nie możemy choć raz pomówić na serio?

— Na serio? A co komu z tego przyjdzie? Na świecie i tak jest za dużo powagi. Lubię się bawić i chcę, żeby moje otoczenie też się dobrze bawiło.

Jeremy uśmiechnął się smutno.

— Bawiłbym się o wiele lepiej, gdybyś zechciała potraktować mnie poważnie.

— Och, daj spokój. Oczywiście, że się dobrze bawisz. Jesteś naszym gościem, masz spędzić tu

weekend razem z moim chrzestnym ojcem Rolym i nawet poczciwy, stary Hugo przyda się jako kompan do kieliszka. On i Roily są razem tacy zabawni! Nie masz powodu do narzekania.

— Rzeczywiście nie mam — przyznał. — Ale nie dajesz mi wyznać tego, co mi leży na sercu.

— Ty głuptasie! Dobrze wiesz, że możesz mi powiedzieć wszystko, co zechcesz.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— Więc dobrze. — Podniósł się i obrócił do niej twarzą. — Kocham cię!

— Bardzo mi miło — odparła wesoło.

— To zupełnie niewłaściwa odpowiedź. Powinnaś powiedzieć nabrzmiąłym współczuciem głosem: “Tak mi przykro!”.

— Ale to nieprawda. Jestem zachwycona, uwielbiam, kiedy ludzie mnie kochają.

Jeremy wrócił na swoje miejsce, lecz usiadł do niej tyłem. Wydawał się naprawdę urażony. Klarysa po chwili spytała:

— Czy zrobiłbyś dla mnie wszystko?

— Wiesz, że tak! — wykrzyknął z entuzjazmem. — Wszystko! Wszystko na świecie!

— Doprawdy? A gdybym, na ten przykład, kogoś zamordowała, czy pomógłbyś mi... Nie, dość już tego.

Wstała i zrobiła kilka kroków. Jeremy spojrzał jej w twarz.

— Przeciwnie, mów dalej.

Zawahała się przez moment, ale potem zaczęła:

— Pytałeś mnie przed chwilą, czy kiedykolwiek nudzę się tu, na wsi.

— Owszem.

— Więc... do pewnego stopnia tak. Albo raczej: mogłabym się nudzić, gdyby nie chodziło o moje osobiste hobby.

— Osobiste hobby? — spytał wyraźnie zaintrygowany Jeremy. — A co to takiego?

Klarysa wzięła głęboki oddech.

— Widzisz, Jeremy... moje życie zawsze było szczęśliwe i spokojne. Nigdy nie przydarzyło mi się

nic ekscytującego, więc wymyśliłam sobie taką małą zabawę. Nazwałam ją “gdybanie”.

— Gdybanie?

— No tak. — Zaczęła krążyć po pokoju. — Na przykład mówię sobie tak: “Gdybym tak pewnego dnia weszła rano do biblioteki i natknęła się na trupa... Co bym wtedy zrobiła?”. Albo: “Gdyby przyszła do mnie jakaś kobieta i oświadczyła, że Henry i ona pobrali się potajemnie w Konstantynopolu, a zatem nasze małżeństwo jest bigamiczne, co bym jej powiedziała?”. Albo: “Przypuśćmy, że poszłabym za głosem instynktu i została sławną aktorką...”. Albo: “Przypuśćmy, że dano by mi do wyboru: albo zdradzę swój kraj, albo zastrzelę Henry’ego na moich oczach”. Rozumiesz, co mam na myśli? — Podeszła do fotela i usiadła. “Przypuśćmy, że uciekłabym z Jeremym... i co dalej?”.

Jeremy ukląkł przy niej.

— Pochlebiasz mi. Ale czy kiedykolwiek wyobrażałaś sobie tę ostatnią sytuację?

— O tak! — odparła z uśmiechem.

— I? I co się stało potem? — spytał, ujmując ją za rękę. Klarysa znów mu się wyrwała.

— No... Ostatnim razem byliśmy razem na Riwierze, w Juan-es-ins, i Henry nas nakrył. Miał ze sobą rewolwer.

— Mój Boże! — przeraził się Jeremy. — Zastrzelił mnie?

Uśmiechnęła się do swego wspomnienia.

— Chyba pamiętam... Powiedział, że... — Urwała na chwilę, po czym uderzyła w dramatyczny ton: — “Klaryso! Albo ze mną wrócisz, albo się zabiję!”.

Jeremy wstał i odsuwając się od niej, mruknął bez przekonania:

— Bardzo uczciwie, ale zupełnie nie w jego stylu. A co ty na to?

Raz jeszcze się uśmiechnęła.

— Właściwie rozegrałam to na dwa sposoby. Za pierwszym razem powiedziałam mu, że okropnie mi przykro. Nie chciałam, żeby się zabił, ale byłam bardzo zakochana w Jeremym i nic nie mogłam na to poradzić. Henry rzucił mi się do stóp, łkając, lecz ja pozostałam niewzruszona. “Lubię cię, Henry — przyznałam — ale nie mogę żyć bez Jeremy’ego. To pożegnanie”. I wybiegłam do ogrodu, gdzie już na mnie czekałeś. Kiedy biegliśmy razem do bramy, usłyszeliśmy strzał, aleśmy się nie zatrzymali.

— Wielkie nieba! — wykrztusił Jeremy. — Co za scena... Biedny Henry. — Zamyślił się na chwilę. — Mówiłaś, że rozegrałaś to na dwa sposoby. Jak było za drugim razem?

— Och, Henry był taki zgnębiony i tak bardzo mnie błagał, że nie miałam serca go zostawić. Postanowiłam odejść od ciebie i poświęcić swoje życie dla jego szczęścia.

Jeremy wyglądał teraz na kompletnie załamane.

— Cóż, moja kochana, z pewnością świetnie się bawiłaś. Ale proszę, bądź przez chwilę poważna. Kiedy mówię, że cię kocham, mówię to na serio. Od dawna cię kocham, musiałaś być tego świadoma. Czy na pewno nie ma dla mnie nadziei? Naprawdę chcesz spędzić resztę życia z tym nudziarzem Henrym?

Klarysie oszczędzono odpowiedzi, gdyż w tym momencie otworzyły się drzwi do hallu i weszła dziewczynka — chuda dwunastolatka w szkolnym mundurku i z tornistrem w ręku.

— Halo, Klaryso — zawołała.

— Cześć, Pippo — odpowiedziała jej macocha. — Jesteś spóźniona.

Pippa położyła kapelusz i tornister na fotelu.

— Lekcja muzyki — wyjaśniła lakonicznie.

— Ach! — przypomniała sobie Klarysa. — Rzeczywiście, miałaś dziś fortepian. I co? Ciekawie było?

— Nie. Koszmarnie. Te wstrętne wprawki, musiałam je powtarzać bez końca. Panna Farrow mówi, że mają poprawić mi palcowanie. Nie dała mi w ogóle zagrać tej ślicznej solówki, którą ćwiczyłam. Jest coś do jedzenia? Umieram z głodu!

Klarysa wstała.

— Czy nie dostałaś bułeczek na drogę?

— O tak, ale to było pół godziny temu. — Rzuciła Klarysie komicznie błagalne spojrzenie. — Nie mogłabym dostać kawałka ciasta czy czegoś... żeby dotrzeć do kolacji?

Macocha wzięła ją za rękę i śmiejąc się, wyprowadziła do hallu.

— Zobaczmy, co uda się znaleźć.

— Zostało może trochę placka?... Tego z wiśniami? — dopytywała się niecierpliwie Pippa.

— Nie. Wykończyłaś go wczoraj.

Jeremy, słuchając ich głosów, pokręcił z uśmiechem głową. Potem, gdy oddaliły się poza zasięg jego uszu, skoczył do biurka i pośpiesznie zaczął wyciągać jedną szufladę po drugiej. Nagle z ogrodu dobiegł go donośny damski głos:

— Ahoj tam!

Jeremy się wzdrygnął i gwałtownym ruchem zasunął szuflady. Odwrócił się w stronę ogrodowych drzwi akurat w chwili, gdy stanęła w nich postawna, jowialna kobieta około czterdziestki, ubrana w kostium z tweedu i gumowe boty. Na widok Jeremy'ego zatrzymała się w progu.

— Jest tu gdzieś pani Hailsham–rown? Jeremy niby przypadkiem odsunął się od biurka.

— Tak, panno Peake. Właśnie poszła z Pippa do kuchni po coś do jedzenia. Sama pani wie, jaki apetyt ma ta mała.

— Dzieci nie powinny jadać między posiłkami — powiedziała Mildred Peake, ogrodniczka Hailsham–Brownów, dobitnym, niemal męskim głosem.

— Zechce pani wejść, panno Peake?

— Nie, mam brudne buty — wyjaśniła z gromkim śmiechem. — Wniosłabym na nich pół ogrodu. Chciałam tylko spytać, jakie jarzyny przygotować na jutrzejszy lunch.

— Cóż, obawiam się... — zaczął Jeremy, ale panna Peake wpadła mu w słowo.

— Wiesz pan co? Wrócę tu później. — Wychodząc, odwróciła się jeszcze raz. — Och, zechce pan uważniej obchodzić się z tym biurkiem, panie Warrender, dobrze?

— Tak, oczywiście.

— To cenny antyk, wie pan. Naprawdę nie powinno się tak szarpać szuflad.

— Najmocniej przepraszam — odparł Jeremy, wyraźnie zbity z tropu. — Szukałem tylko papieru do pisania.

— Środkowa przegródka — warknęła panna Peake, pokazując palcem.

Jeremy zajrzał we wskazane miejsce i wyciągnął kartkę.

— O właśnie — kontynuowała panna Peake. — Dziwne, że ludzie nie widzą tego, co mają przed nosem.

Zachichotała i tym razem na dobre wyszła do ogrodu. Jeremy jej zawtórował, ale gdy tylko znikła mu z oczu, spowaźniał. Już miał wrócić do biurka, kiedy od strony hallu nadeszła Pippa, żując drożdżówkę.

Rozdział III

— Umm... Pycha! — mruknęła z pełnymi ustami, wycierając lepkie palce w mundurek.

— Cześć — pozdrowił ją Jeremy. — Jak tam w szkole?

— Ciężki dzień — odparła dziewczynka, kładąc resztkę bułki na stoliku. — Dziś były sprawy międzynarodowe. — Otworzyła tornister. — Panna Wilkinson to uwielbia, ale co z tego? Jest za miętka, nie potrafi utrzymać dyscypliny w klasie.

Widząc, że Pippa wyciąga książkę, Jeremy spytał:

— Jaki jest twój ulubiony przedmiot?

— Biologia — padła natychmiastowa odpowiedź. — Jest boska! Wczoraj kroiliśmy nogę żaby. — Podsunęła mu książkę pod oczy. — Proszę, co znalazłam na stoisku z używanymi książkami. To wielka rzadkość, ma ponad sto lat!

— Co to właściwie jest?

— Rodzaj zbioru przepisów. Niesamowite, po prostu niesamowite!

— Ale konkretnie jakich? — indagował Jeremy.

Pippa zapomniała już o bożym świecie.

— Co? — mruknęła, przewracając strony.

Jeremy wstał.

— Rzeczywiście wydaje się bardzo absorbująca.

— Co? — powtórzyła Pippa z nosem w książce. — O Boże! — wykrzyknęła, spojrzawszy na kolejną stronę.

— Musi być warta swoich dwóch pensów — zagadywał Jeremy, biorąc z taboretu gazetę.

Pippa, wyraźnie zaintrygowana tym, co wyczytała, podniosła nagle głowę.

— Czym się różni świeca woskowa od łojowej?

Jeremy zastanowił się przez chwilę.

— Myślę, że łojowa jest znacznie gorsza. Ale przecież świece nie są do jedzenia. Co to za

przepisy?

Dziewczynkę ubawiły te domysły. Wstała.

— Czy to się je? — zadeklamowała. — Całkiem jak przy grze w “Dwadzieścia pytań”. — Rzuciła książkę na fotel i podeszła do półki, skąd wyciągnęła talię kart. — Zna pan diabelskiego pasjansa?

Tym razem to Jeremy nie odrywał wzroku od gazety. Mruknął coś pod nosem, ale Pippa nie dawała się zbyć.

— Bo pewnie na “zebraka” nie da się pan namówić?

— Nie — odparł stanowczo.

Odłożył gazetę na miejsce, usiadł przy biurku i zaczął adresować kopertę.

— Tak myślałam — westchnęła smętnie Pippa. Rozłożyła karty na podłodze i zaczęła układać pasjansa. — Może by tak dla odmiany trafił się ładny dzień? Siedzenie na wsi w taką brzydką pogodę to czysta strata czasu.

— Lubisz mieszkać na wsi? — zainteresował się Jeremy.

— O tak — brzmiała entuzjastyczna odpowiedź. — O wiele bardziej niż w Londynie. To wprost fantastyczny dom, są korty tenisowe i w ogóle... Mamy nawet księżą skrytkę*!

— Księżą skrytkę? W tym domu?

— Tak!

— Nie wierzę! To nie ten okres.

— No dobrze, po prostu nazwałam tak pewien schowek — przyznała się Pippa. — Zaraz panu pokażę!

Podeszła od regału po prawej stronie, wyjęła kilka książek i przekręciła niedużą dźwignię w ścianie, otwierając w ten sposób niewidoczne drzwi. Ukazała się spora wnęka z kolejnymi drzwiami, prowadzącymi do biblioteki.

— Wiem, że to nie ma nic wspólnego z książkami, ale z pewnością jest to sekretne przejście. Za tymi drugimi drzwiami jest biblioteka.

— Ach, tak? — zainteresował się Jeremy, podchodząc do wnęki. Otworzył drzwi, zajrzał do biblioteki i zaraz je zamknął. — No rzeczywiście!

— Ale to tajemnica! Sam nigdy by się pan nie domyślił. — Pippa przekręciła z powrotem dźwignię. — Ja ciągle z tego korzystam. Taka wnęka jest świetna do ukrycia trupa, prawda?

— Jak do tego stworzona — uśmiechnął się Jeremy. Pippa zdążyła wrócić do swego pasjansa, kiedy weszła Klarysa.

— Amazonka cię szukała — poinformował ją Jeremy.

— Panna Peake? Co za nudziara! — Wzięła ze stolika resztę bułki i ugryzła kęs.

Pippa zerwała się na równe nogi.

— Hej, to moje! — zaprotestowała.

— Sknera! — mruknęła Klarysa, ale oddała jej resztę.

Pippa odłożyła bułkę na stolik i znów się zajęła kartami.

— Amazonka najpierw oddała mi honory jak statkowi, a potem obsztorcowała mnie za ruszanie biurka.

— To straszna jędza — przyznała Klarysa, zaglądając Pippie w karty. — Ale my tylko wynajmujemy ten dom, a ona należy do inwentarza, więc... Czarna dziesiątka na czerwonego waleta, Pippo. No więc musimy ją znosić. Zresztą to świetna ogrodniczka.

— Wiem. — Jeremy otoczył ją ramieniem. — Widziałem ją dziś rano z okna sypialni. Usłyszałem jakieś dziwne odgłosy, więc wystawiłem głowę. Amazonka kopała zawzięcie coś, co wyglądało na gigantyczny grób.

— To się nazywa “głębokie bruzdowanie” — wyjaśniła Klarysa. — Chyba pod kapustę czy coś...

Jeremy przyjrzał się uważnie pasjansowi.

— Czerwona trójka na czarną czwórkę — poradził Pippie, która odpowiedziała wściekłym spojrzeniem.

Z biblioteki nadeszli obaj starsi panowie. Sir Rowland spojrzał znacząco na Jeremy’ego, wciąż obejmującego ramieniem Klarysę. Ten szybko opuścił rękę i odsunął się nieco.

— Nareszcie się przejaśniło — obwieścił sir Rowland. — Ale na golfa już za późno, zostało zaledwie dwadzieścia minut do zmroku. — Zerknął na pasjansa i dotknął jedną z kart czubkiem buta. — Patrz, to trzeba dać tutaj — powiedział do dziewczynki, po czym skierował się do drzwi ogrodowych, nieświadom złego błysku w jej oczach. — No, jeśli mamy jeść w klubie golfowym, to lepiej się zbierajmy.

— Pójdę po płaszcz — rzekł Hugo, wskazując Pippie jakąś kartę.

Dziewczynka, porządnie już rozeźlona, przykryła sobą pasjansa, ale Hugo patrzył teraz na Jeremy’ego.

— Co z tobą, chłopcze? Idziesz z nami?

— Tak, tak. Tylko wezmę marynarkę.

Wyszli razem do hallu, pozostawiając otwarte drzwi.

— Naprawdę nie masz nic przeciwko obiadowi w klubie? — spytała Klarysa sir Rowlanda.

— Absolutnie nic. To świetny pomysł, zważywszy, że służba ma wychodne.

Z hallu wszedł Elgin, kamerdyner, i skierował się prosto do Pippy.

— W szkolnym pokoju ma panienka kolację. Mleko, owoce i panienki ulubione herbatniki.

— Och, świetnie — wykrzyknęła dziewczynka, zrywając się na równe nogi. — Jestem głodna jak wilk!

Ruszyła w stronę hallu, ale Klarysa ją powstrzymała. Ostрым tonem kazała Pippie pozbierać najpierw karty i odłożyć je na miejsce.

— Och, zawracanie głowy — burknęła tamta, ale posłusznie przyklękała na podłodze i zaczęła zgarniać karty na stosik koło sofy.

Elgin zwrócił się następnie do pani domu:

— Przepraszam panią, ale... — szepnął z szacunkiem.

— Tak, Elgin? O co chodzi? Kamerdyner miał niewyraźną minę.

— Jest pewna przykra sprawa... w związku z jarzynami...

— Ach, mój Boże! Macie na myśli pannę Peake?

— Tak, proszę pani. Żona uważa ją za nadzwyczaj trudną osobę. Ciągłe kręci się po kuchni, wszystko krytykuje i robi uwagi. Mojej żonie to się nie podoba. W końcu dotąd zawsze mieliśmy bardzo dobre stosunki z ogrodem.

— Bardzo mi przykro — rzekła Klarysa z wymuszonym uśmiechem. — Ja... spróbuję coś z tym zrobić. Pomówię z panną Peake.

— Dziękuję pani.

Elgin skłonił się i wyszedł z pokoju.

— Istne utrapienie z tą służbą! — westchnęła jego chlebodawczyni. — I co za głupstwa czasem wygadują. Jak można mieć miłe stosunki z ogrodem? To brzmi niestosownie, jakoś tak... po pogańsku.

— Ale chyba i tak masz szczęście z tą parą, to jest z Elginami — zauważył sir Rowland. — Skąd ich wzięłaś?

— Ach, z lokalnej agencji. Sir Rowland zmarszczył brwi.

— Chyba nie z tej... jakże ona się nazywała? Co to podsyła ludziom samych opryszków?

— Co? — zdziwiła się Pippa. — Mają opryszczkę?

— Nie, kochanie. Opryszków, przestępców. Pamiętasz, Klaryso, tę agencję o włoskiej czy hiszpańskiej nazwie... di Botello, czyż nie? Ciągłe przysyłali na rozmowy nielegalnych imigrantów. Jedna taka para omal nie wyczyściła do cna dobytku Andy'ego Hulme'a. Posłużyli się jego przyczepą na konia. I nigdy ich nie złapano...

— Ach, tak! Pamiętam. No, Pippo, pośpiesz się! Dziewczynka podniosła karty i wstała.

— Proszę bardzo — rzekła potulnie i odłożyła karty na półkę. — Że też człowiek ciągle musi wszystko sprzątać... — westchnęła, idąc ku drzwiom.

Klarysa znów ją zatrzymała.

— Zabierz jeszcze tę bułkę!

Pippa usłuchała.

— I tornister — dodał sir Rowland.

Pippa podbiegła do fotela, porwała tornister i znów zmierzała ku drzwiom.

— Kapelusz! — syknęła Klarysa.

Pippa położyła bułkę na stole, wzięła kapelusz i wybiegła.

— A to? — zawołała ją znowu macocha. Wetknęła dziewczynce do ust niedojedzony kawałek, wsadziła jej na głowę kapelusz i wypchnęła ją do hallu. — I zamknij za sobą drzwi!

Pippa wreszcie wyszła, spełniając ostatnie polecenie. Sir Rowland się zaśmiał, Klarysa mu zawtórowała i wzięła z pudełka papierosa. Za oknem zaczęło się zmierzchać i w pokoju też zrobiło się ciemniej.

— To cudowne, wiesz? — wykrzyknął sir Rowland. — Pippa jest teraz zupełnie innym dzieckiem. Odwaliłaś kawał dobrej roboty, Klaryso.

— Myślę, że ona naprawdę mnie lubi i ufa mi — rzekła tamta, siadając na sofie. — Zupełnie dobrze się czuję w roli macochy.

Sir Rowland podał jej ogień.

— Cóż — zauważył — mała znów wydaje się całkiem normalnym, szczęśliwym dzieckiem.

Klarysa pokiwała głową.

— Chyba zamieszkanie na wsi tak dobrze na nią wpłynęło. Poza tym chodzi do miłej szkoły i ma tu mnóstwo przyjaciółek. Tak, rzeczywiście jest szczęśliwa i jak to określiłeś, normalna.

Sir Rowland zmarszczył brwi.

— To dla człowieka prawdziwy szok, kiedy widzi dziecko w takim stanie, jak Pippa przed rozwodem ojca. Miałem chęć skrócić Mirandzie kark. Co za okropna matka z niej była!

— Owszem. Pippa panicznie się jej bała. Sir Rowland usiadł obok Klarysy.

— Tak... Paskudna sprawa — mruknął. Klarysa zacisnęła gniewnie pięści.

— Złość mnie ogarnia na samą myśl o Mirandzie. Jak Henry przez nią cierpiał i przez co musiało przejść to dziecko... Dotąd nie rozumiem, jak kobieta może tak postępować.

— Narkotyki to straszna rzecz. Potrafią kompletnie zmienić charakter.

Przez chwilę siedzieli w ciszy, potem Klarysa spytała:

— Jak sądzisz? Co ją do tego skłoniło? Czemu w ogóle zaczęła brać prochy?

— Chyba zawinił ten podlec, Oliver Costello. On w tym tkwi po uszy.

— Straszny człowiek. Zawsze uważałam go za wcielenie zła.

— Miranda za niego wyszła, prawda?

— Tak, pobrali się około miesiąca temu.

Sir Rowland pokręcił głową.

— Cóż, niewątpliwie Henry'emu wyszło na dobre, że pozbył się Mirandy. Miły z niego gość. Naprawdę miły — powtórzył z naciskiem.

— Myślisz, że musisz mi to powtarzać? — spytała Klarysa z uśmiechem.

— Wiem, że jest małomówny — ciągnął sir Rowland. — I raczej, że się tak wyrażę, niewylewny, ale... porządny z niego chłop. — Po chwili dodał: — A ten młodzieniec, Jeremy? Co o nim wiesz?

Klarysa znów się uśmiechnęła.

— Jeremy? Och, jest bardzo zabawny.

— Phi, też coś! Oto, na czym ludziom dziś zależy! — Rzucił gospodyni poważne spojrzenie. — Ty

chyba... chyba nie palniesz jakiegoś głupstwa?

Parsknęła śmiechem.

— “Nie zakochaj się czasem w Jeremym Warrenderze”, to chciałeś powiedzieć, prawda?

Sir Rowland nadal przyglądał się jej z powagą.

— Tak, właśnie to miałem na myśli. On wyraźnie bardzo cię lubi. Prawdę rzekłszy, nie potrafi utrzymać rąk w spokoju. Ale przecież twoje małżeństwo z Henrym jest szczęśliwe i nie chciałbym, żebyś naraziła je na szwank.

Klarysa spojrzała na niego z czułością.

— Naprawdę myślisz, że zrobiłabym coś tak głupiego?

— To rzeczywiście byłaby skrajna głupota. — Zamyślił się na chwilę. — Wiesz, kochana Klaryso, dorastałaś na moich oczach. Naprawdę dużo dla mnie znaczysz. Gdybyś kiedykolwiek wpadła w kłopoty, zwrócisz się do swego starego anioła stróża, prawda?

— Oczywiście, Roly — odparła, całując go w policzek. — I nie musisz się martwić o Jeremy’ego. Naprawdę. Wiem, że jest bardzo przystojny, ujmujący i tak dalej, ale przecież mnie znasz. Bawię się i tyle, to nic poważnego.

Sir Rowland zamierzał coś powiedzieć, ale w drzwiach od ogrodu ukazała się właśnie panna Peake.

Rozdział IV

Panna Peake zdążyła już pozbyć się butów i była w samych pończochach. W rękę trzymała brokuł.

— Chyba pani nie przeszkadza, że tędy wchodzę? — huknęła, podchodząc do sofy. — Nie nabrudzę, bo zostawiłam buty przed wejściem. Chcę tylko, aby rzuciła pani okiem na ten brokuł. — Podetknęła Klarysie warzywo pod nos.

— Hmm... Wygląda eee... bardzo przyjemnie — jąkała się pani domu, nie mogąc na poczekaniu znaleźć odpowiedzi.

Panna Peake zwróciła się teraz do sir Rowlanda:

— Pan spojrz!

Sir Rowland usłuchał i po chwili ogłosił werdykt:

— Nie widzę niczego podejrzanego.

Wziął jednak od niej brokuł i poddał go szczegółowym oględzinom.

— Oczywiście, że jest w porządku — warknęła panna Peake. — Wczoraj zaniiosłam do kuchni identyczny, a ta kobieta... Oczywiście nie mam nic przeciwko pani służącym, pani Hailsham-Brown, chociaż mogłabym wiele powiedzieć. Ale ta Elgin miała czelność oznajmić mi, że to marny gatunek i nie zamierza go podawać. I jeszcze dodała: “Jeśli nie zacznie pani lepiej sobie radzić w warzywniku, to trzeba będzie poszukać innej pracy”. Myślałam, że ją zabiję.

Klarysa zaczęła coś mówić, lecz panna Peake nie dopuściła jej do słowa.

— Wie pani przecież, że nie chcę sprawiać kłopotów, ale moja noga nie postanie więcej w kuchni, gdyż mnie tam obrażają. — Po krótkiej przerwie na zaczerpnięcie oddechu podsumowała swą tyradę: — W przyszłości będę dostarczać warzywa pod tylne wejście i pani Elgin może tam zostawiać spis...

Sir Rowland chciał jej zwrócić brokuł, ale go zignorowała.

— ...tego, czego jej trzeba — dokończyła.

Ani sir Rowland, ani Klarysa nie byli w stanie wymyślić żadnej odpowiedzi. Kiedy ogrodniczka znów otworzyła usta, zadzwonił telefon.

— Odbiorę — burknęła.

— Halo... — powiedziała, wycierając róg stołu połą płaszczą. — Tak, tu Copplestone Court...

Panią Brown? Już proszę.

Wyciągnęła słuchawkę do Klarysy; ta zgasiła papierosa i podeszła do aparatu.

— Halo? Halo! — Zerknęła na pannę Peake. — Dziwne, chyba się rozłączyli.

Kiedy odkładała słuchawkę, panna Peake zaczęła przesuwać konsolkę.

— Przepraszam — rzekła obcesowo — ale pan Sellon lubił, żeby ten stolik stał pod samą ścianą.

Klarysa wykrzywiła się za jej plecami do sir Rowlanda, ale pośpieszyła z pomocą.

— Dziękuję! I na przyszłość proszę uważać na mokre szklanki, dobrze, pani Brown–Hailsham? — I kiedy Klarysa rzuciła spłoszone spojrzenie sir Rowlandowi, ogrodniczka poprawiła się szybko: — Przepraszam, chciałam powiedzieć: pani Hailsham–Brown. A zresztą — zaśmiała się kordialnie — to przecież wszystko jedno, czyż nie?

— Nie, panno Peake, nie wszystko jedno — wtrącił sir Rowland z naciskiem. — Mimo wszystko “dziewczyna jak łania” to nie to samo, co “łania jak dziewczyna”.

Panna Peake śmiała się jeszcze z dowcipu, kiedy do pokoju wszedł Hugo.

— Halo — pozdrowiła go. — Zbieram tu same cięgi. — Klepnęła przybysza w plecy i odwróciła się do pozostałych. — No to dobranoc, muszę już lecieć. Poproszę o mój brokuł.

Sir Rowland spełnił jej życzenie.

— Dziewczyna jak łania, łania jak dziewczyna. Dobrze! — huknęła panna Peake. — Muszę to zapamiętać.

I zniknęła za drzwiami do ogrodu. Hugo odprowadził ją wzrokiem.

— Jak, u licha, Henry z nią wytrzymuje? — westchnął.

— Uważa ją za dopust boży — odparła Klarysa, odkładając książkę Pippy na stolik i wyciągając się w fotelu.

— Ja myślę! Jest taka podstępna! I te jej maniery podfruwajki...

— Przypadek zatrzymania w rozwoju — dodał sir Rowland.

Klarysa się uśmiechnęła.

— Owszem, czasem doprowadza nas do szału, ale z drugiej strony, dobra z niej ogrodniczka, a poza tym wciąż wszystkim powtarzam, że panna Peake należy do wyposażenia tego domu. Dom zaś jest wprost fantastycznie tani...

— Tani? — zdziwił się Hugo. — Zdumiewasz mnie, Klaryso.

— Ależ tak! Dwa miesiące temu przeczytaliśmy ogłoszenie i zaraz przyjechaliśmy go obejrzeć. Wynajęliśmy go z meblami na pół roku.

— A do kogo należy?

— Kiedyś należał do niejakiego pana Sellona. Ale on już nie żyje. Miał w Maidstone sklep z antykami.

— A tak! — wykrzyknął Hugo. — Rzeczywiście, Sellon i Brown. Kiedyś kupiłem u nich bardzo ładne lustro w stylu chippendale. Sellon mieszkał tu, na wsi, ale codziennie jeździł do miasta i czasem zapraszał klientów, żeby zobaczyli, co trzyma w domu.

— Nawiasem mówiąc — rzekła Klarysa — nie wszystko układa się tu po różach. Nie dalej jak wczoraj przyjechał sportowym autem jakiś jegomość w krzykliwym, kraciastym garniturze i chciał kupić to biurko. Powiedziałam mu, że nie jest nasze, ale on po prostu mi nie uwierzył i wciąż podnosił cenę. Zatrzymał się na pułapie pięciuset funtów.

— Pięćset funtów! — zdziwił się sir Rowland. — To doprawdy zaskakujące. — Podeszedł do biurka i przyjrzał mu się uważnie. — Wielkie nieba! Toż nawet na giełdzie antyków byłoby znacznie taniej. Wprawdzie to cenny mebel, ale nie aż tak...

Hugo przyłączył się do oględzin, ale wtedy wróciła Pippa.

— Nadal jestem głodna — poskarżyła się Klarysie.

— Niemożliwe!

— Ależ tak — upierała się dziewczynka. — Mleko z czekoladowymi herbatnikami i jeden banan to stanowczo za mało pożywne jedzenie.

I opadła ciężko na fotel. Tymczasem sir Rowland z Hugonem wciąż wpatrywali się w biurko.

— Jest całkiem przyjemne — zauważył sir Rowland. — I nawet autentyczne, ale nie nazwałbym tego kolekcjonerskim kąskiem. Zgadzasz się ze mną, Hugo?

— Tak, ale może ma jakąś tajemną szufladkę, a w niej kulię brylantową?

— Owszem, jest w nim skrytka — wtrąciła się Pippa.

— Co takiego? — wykrzyknęła Klarysa.

— Znalazłam na bazarze książkę o tajemnych szufladkach w starych meblach, więc zaczęłam szperać w różnych biurkach i innych rzeczach. Ale tylko w tym jednym coś znalazłam. Czekaście, zaraz wam pokażę.

Podeszła do biurka i otworzyła jedną z szufladek, po czym wsunęła do środka rękę.

— Widzicie? Wystarczy to wyciągnąć, a pod spodem jest taki mały uchwyt...

— Ha! — zaśmiał się Hugo. — Nie nazwałbym tego skrytką.

— Ach, ale to jeszcze nie wszystko! Trzeba nacisnąć tutaj i proszę! Wyskakuje szufladka, widzicie?

Hugo wyjął szufladkę, w której leżała jakaś karteczka.

— Hej, a to co takiego? — I przeczytał głośno: — “Pudło!”.

— Co? — wykrzyknął sir Rowland.

Pippa wybuchnęła śmiechem, a reszta zebranych jej zawtórowała. Sir Rowland próbował nią potrząsnąć, ale dziewczynka udała, że go szczypie.

— To ja! Ja to tam włożyłam!

— Ty mała szelmo! — Sir Rowland zwichrzył jej włosy. — Robisz się tak samo niedobra jak Klarysa z tymi głupimi figlami.

— Tak naprawdę — rzekła Pippa — była tam koperta z autografem królowej Wiktorii. Zaraz wam pokażę.

Kiedy Klarysa zasuwała z powrotem szufladki, Pippa wzięła z dolnej półki regału niewielkie pudełko, z którego wyjęła starą kopertę z trzema świstkami papieru. Ułożyła to wszystko na stoliku.

— Zbierasz autografy? — zapytał sir Rowland.

— Właściwie nie. Tylko na przyczepkę. — Podała jedną karteczkę Hugonowi, ten ją obejrzał i przekazał przyjacielowi. — Jedna dziewczyna w szkole zbiera znaczki, a jej brat też ma fantastyczną kolekcję. Ostatniej jesieni wydało mu się, że ma znaczek, jaki widział w gazecie, szwedzki... już nie pamiętam, wart setki funtów. — To mówiąc, wręczyła Hugonowi dwa pozostałe autografy, które następnie także trafiły do rąk sir Rowlanda. — Brat mojej koleżanki strasznie się tym podniecił i zabrał znaczek do handlarza. A handlarz mu powiedział, że to wprawdzie zupełnie niezły okaz, ale niestety nie ten, o który chodziło. Zapłacił mu jednak pięć funtów.

Sir Rowland oddał dwa autografy Hugowi, ten zaś przekazał je Pippie.

— Pięć funtów to ładna sumka, czyż nie? — dopytywała się dziewczynka.

Hugo potwierdził jej opinię.

— Jak myślicie? Ile może być wart autograf królowej Wiktorii? — pytała dalej Pippa, przyglądając się karteczkom.

— Przypuszczam, że pięć do dziesięciu szylingów — odparł sir Rowland, przypatrując się pilnie kopercie, którą wciąż trzymał w ręku.

— Jest tu jeszcze autograf Johna Ruskina i Roberta Browninga.

— Obawiam się, że i za te więcej nie dostaniesz.

Sir Rowland oddał przyjacielowi kopertę wraz z pozostałym autografem. Hugo zwrócił je Pippie.

— Przykro mi, moja droga. Nie najlepiej na tym wyszłaś, co?

— Szkoda, że nie mam Neville'a Duke'a i Rogera Bannistera — westchnęła dziewczynka. — Te historyczne to raczej knoty. — Wrzuciła kopertę i autografy do pudełka, po czym odłożyła je na półkę. — Klaryso, mogę zobaczyć, czy w spizarni nie zostały jakieś ciasteczka? — spytała z nadzieją w głosie, kierując się ku drzwiom.

— Możesz, skoro masz chęć — odrzekła z uśmiechem Klarysa.

— Musimy już wychodzić — zauważył Hugo, idąc za Pippą do hallu. — Jeremy! — krzyknął w stronę schodów. — Hej, Jeremy!

— Idę! — odezwał się tamten z góry. Wkrótce zjawił się w salonie, niosąc kij golfowy.

— Henry powinien niedługo wrócić — mruknęła Klarysa, bardziej do siebie niż do pozostałych.

— Wyjdźmy lepiej tędy, będzie bliżej — zachęcał Hugo Jeremy'ego, kierując się ku drzwiom ogrodowym. — Dobranoc, Klaryso, dzięki, żeś z nami wytrzymała tyle czasu. Ja pewnie prosto z klubu wrócę do domu, ale “obiecuję odesłać twoich gości w stanie nienaruszonym.

— Dobranoc, Klaryso — powtórzył za nim Jeremy i obaj panowie wyszli.

Klarysa pomachała im ręką. Sir Rowland stanął przy niej i objął ją serdecznie.

— Dobranoc, kochanie. Prawdopodobnie nie zjawimy się przed północą.

Klarysa odprowadziła go do wyjścia.

— Jest naprawdę ładny wieczór. Przejdę się z tobą do bramy klubu.

Podążyli spacerkiem przez ogród, nie próbując dogonić tamtych.

— Kiedy spodziewasz się Henry'ego? — zapytał sir Rowland.

— Och, sama nie wiem, pewnie niedługo. Tak czy inaczej spędzimy razem spokojny wieczór, zjemy coś na zimno i wczesnie się położymy.

— Tak, tak, absolutnie na nas nie czekajcie. Szli w milczeniu aż do bramy klubu.

— No to do widzenia, mój drogi. Pewnie zobaczymy się przy śniadaniu.

Sir Rowland cmoknął ją czule w policzek i pomaszerował za swymi towarzyszami, Klarysa zaś zawróciła ku domowi. Wieczór rzeczywiście był przyjemny, więc szła wolno, przystając czasem, by nacieszyć się widokiem i zapachami ogrodu, a także rozmyślając o różnych sprawach. Na wspomnienie panny Peake i jej brokułów zachichotała cichutko. Ku swemu zaskoczeniu uśmiechnęła się także na myśl o niezgrabnych zalotach Jeremy'ego. Ciekawe, czy to było na serio? W miarę jak zbliżała się do domu, nabierała coraz większej ochoty na spokojny wieczór w towarzystwie męża.

Rozdział V

Kilka minut po wyjściu Klarysy i sir Rowlanda w pokoju pojawił się Elgin z tacą wypełnioną drinkami. Kiedy już wszystko ustawił na stoliku, zadzwieczał dzwonek u frontowego wejścia. Kamerdyner wyszedł do hallu i otworzył drzwi ciemnowłosemu mężczyźnie o nieco teatralnym typie urody.

— Dobry wieczór panu.

— Dobry wieczór. Przyszedłem zobaczyć się z panią Brown.

— Ach tak, proszę wejść. Kogo mam zaanonsować?

— Nazywam się Costello.

— Tędy proszę. — Elgin poprowadził gościa przez hali i stanąwszy z boku, zaczekał, aż ten wejdzie do salonu. — Zechce pan spocząć. Pani jest w domu, zaraz jej poszukam. — Już w drodze do drzwi obejrzał się i upewnił: — Pan Costello, tak?

— Tak jest. Oliver Costello.

— Doskonale, proszę pana — mruknął Elgin i opuścił pokój.

Pozostawiony samemu sobie gość rozejrzał się uważnie. Podszedł najpierw do drzwi biblioteki, potem do tych z hallu. Na koniec pochylił się nad biurkiem, ale szybko odskoczył, spłoszony jakimś szmerem. Kiedy z ogrodu nadeszła Klarysa, stał pośrodku pokoju. Widok pani domu wyraźnie go zaskoczył.

To ona odezwała się pierwsza.

— Ty? — spytała z najwyższym zdumieniem.

— Klarysa? Co ty tu robisz? — wykrzyknął nie mniej zdumiony Costello.

— To dość głupie pytanie, nie sądzisz? Jestem u siebie.

— To twój dom? — spytał z niedowierzaniem.

— Nie udawaj, że nie wiesz — rzuciła ostro.

Costello wpatrywał się w nią w milczeniu. Po chwili zmienił ton.

— Cóż za urocza siedziba — zauważył. — Dawniej należała do starego... jak mu tam, no, tego handlarza antykami, czyż nie? Kiedyś mnie tu przywiózł, żeby mi pokazać parę krzesel w stylu

Ludwika XV. — Wyjął papierośnicę. — Zapalisz?

— Nie, dziękuję — odmówiła szorstko, po czym dodała: — Lepiej już sobie idź. Mój mąż wróci lada chwila i nie sądzę, by ucieszyła go twoja wizyta.

Costello stanął za fotelem i odrzekł z dość obraźliwym rozbawieniem:

— Ale tak naprawdę to właśnie o niego mi chodzi. Musimy uzgodnić pewne sprawy.

— Jakie sprawy? — zdziwiła się Klarysa.

— Związane z Pippą. Miranda nie ma nic przeciwko temu, żeby jej córka spędzała z Henrym część letnich wakacji i może tydzień w okolicy świąt Bożego Narodzenia. Ale poza tym...

— Co masz na myśli? Pippy dom jest tutaj.

Costello krążył niby przypadkiem koło tacy z drinkami.

— Ależ moja droga, chyba zdajesz sobie sprawę, że to Mirandzie sąd przyznał opiekę nad dzieckiem? — Wziął butelkę whisky. — Mogę? — spytał i nie czekając na odpowiedź, nalał sobie szklaneczkę. — obrońca na procesie nie występował, pamiętasz?

Klarysa spojrzała na niego wyzywająco.

— Henry zgodził się na rozwód — powiedziała dobitnie — tylko dlatego, że przedtem zawarł z Mirandą prywatne porozumienie. Pippa miała zamieszkać z ojcem, inaczej Miranda nigdy nie uzyskałaby rozwodu.

Costello wybuchnął szyderczym śmiechem.

— Nie znasz zbyt dobrze Mirandy, prawda? Ona często zmienia zdanie.

Klarysa odwróciła się tyłem.

— Nie wierzę ani przez chwilę — rzekła z pogardą w głosie — że Miranda naprawdę chce tego dziecka. Pippa obchodzi ją tyle, co zeszłoroczny śnieg!

— Ale nie ty jesteś jej matką, moja droga Klaryso — brzmiała impertynencka odpowiedź. — Nie masz chyba nic przeciwko temu, żebym nadal nazywał cię Klarysa, prawda? — ciągnął z nieprzyjemnym uśmieszkiem. — W końcu jako mąż Mirandy jestem z tobą spowinowacony. — Wypił whisky jednym haustem i odstawił szklanę. — Mogę cię zapewnić, że Miranda odczuwa teraz przyływ uczuć macierzyńskich. Po prostu musi mieć Pippę przy sobie przez większość roku.

— Nie wierzę!

Costello wyciągnął się wygodnie w fotelu.

— Jak ci się podoba, ale nie ma sensu temu przeczyć. Przecież nie macie niczego na piśmie?

— Nie dostaniecie Pippy. To dziecko, kiedy zamieszkało z nami, było strzępkiem nerwów. Teraz już lepiej się czuje, lubi swoją szkołę, więc nie ma mowy o żadnych zmianach.

— Ciekawe, jak wam się to uda? Prawo jest po naszej stronie.

— Co się za tym kryje? — spytała oszołomiona Klarysa. — Nie zależy wam na Pippie, więc czego właściwie chcecie? — Nagle przyłożyła rękę do czoła. — Och! Ależ ze mnie idiotka! To szantaż, prawda?

Costello chciał odpowiedzieć, ale przerwało mu wejście Elgina.

— Szukałem pani — rzekł kamerdyner, po czym widząc, że jest z nią Costello, spytał: — Czy możemy z żoną wyjść? Nie pokrzyżujemy pani planów?

— Oczywiście, Elgin, wszystko w porządku.

— Taksówka już zajechała — wyjaśnił kamerdyner. — Kolacja czeka w jadalni. Czy chce pani, żebym tu pozamykał? — pytał, nie spuszczając oka z Costella.

— Nie, sama wszystkiego dopilnuję. Możecie już iść.

— Bardzo dziękuję. Dobranoc pani.

— Dobranoc, Elgin.

Costello zaczekał, aż kamerdyner zamknie za sobą drzwi. Dopiero wtedy wrócił do tematu.

— Szantaż to bardzo brzydkie słowo — rzekł mało oryginalnie. — Powinnaś się nieco zastanowić, zanim zaczniesz oskarżać niewinnych ludzi. Czy w ogóle wspomniałem coś o pieniądzach?

— Jak dotąd nie, ale o to właśnie wam chodzi, prawda? Costello wzruszył ramionami, po czym wysunął przed

siebie ręce obronnym gestem.

— Prawda, że się nam nie przelewa. Miranda zawsze była dość ekstrawagancka, jak na pewno wiesz. Uważa, że Henry mógłby jej zapewnić znacznie wyższe dochody, w końcu to dziany gość.

Klarysa podeszła do niego blisko. Na jej twarzy malowała się determinacja.

— Posłuchaj no, mój panie. Nie mogę mówić za Henry'ego, ale za siebie mogę. Spróbuj ruszyć stąd Pippę, a zacznę gryźć i drapać! — I po chwili dodała: — I wszystko mi jedno, jakiej broni użyję.

Costella bynajmniej nie wzruszyła ta przemowa. Zachichotał szyderczo, ale Klarysa nie dawała za

wygraną.

— Nietrudno będzie zdobyć świadectwo lekarskie, że Miranda się narkotyzuje. Mogę nawet pójść do Scotland Yardu i pogadać z brygadą antynarkotykową, żeby i na ciebie mieli oko.

Tym razem lekko się spłoszył.

— Henry— zasadniczek nie pochwali twoich metod.

— Będzie musiał się z nimi pogodzić. Tu chodzi o dziecko. Nie pozwolę Pippy straszyć ani terroryzować.

W tym momencie dziewczynka weszła do pokoju. Na widok Costella zatrzymała się, wyraźnie zaniepokojona.

— Cześć, Pippo! — powitał ją Costello. — Ależ urosłaś! — Ruszył w jej stronę, ale się cofnęła. — Przyszedłem, żeby porozumieć się w twojej sprawie. Mamusia nie może się ciebie doczekać, wiesz? Właśnie pobraliśmy się i...

— Nie pójdę! — krzyknęła histerycznie dziewczynka, biegnąc do Klarysy po pomoc. — Nie chcę! Klaryso, przecież nie mogą mnie zmusić, prawda? Oni nie...

— Uspokój się, kochanie. — Klarysa objęła ją ramieniem. — Twój dom jest tutaj, z tatusiem i ze mną. Nigdzie stąd nie wyjedziesz.

— Ależ zapewniam cię... — zaczął Costello, Klarysa mu jednak przerwała.

— Wynoś się stąd — warknęła. — Wynocha! Żartobliwie udając wystraszonego, podniósł posłusznie ręce i cofnął się.

— Natychmiast! — dodała Klarysa, robiąc krok naprzód. — Nie chcę cię więcej widzieć w moim domu, zrozumiano?

Nagle w drzwiach ogrodowych ukazała się panna Peake z dużymi widłami w ręku.

— Ach, pani Hailsham–Brown, ja bardzo...

— Panno Peake — przerwała jej Klarysa. — Zechce pani pokazać panu Costello drogę do furki na pole golfowe?

Costello zerknął na ogrodniczkę, która odwzajemniła mu spojrzenie, podnosząc jednocześnie widły.

— Panna... Peake, tak? — zapytał.

— Miło mi pana poznać! Jestem tu ogrodniczką.

— Ach, rzeczywiście! Już raz tu byłem, może pani sobie przypomina? Oglądałem antyki.

— A tak, za czasów pana Sellona, prawda? Ale dziś nie spotka go pan. Nie żyje.

— Nie, wcale nie przyszedłem do niego, tylko do... do pani Brown.

Nazwisko wymówił z naciskiem.

— Doprawdy? Więc już się pan z nią zobaczył.

Panna Peake jakby zrozumiała, że gość zwleka z odejściem. Ten zaś zwrócił się teraz do pani domu.

— Do widzenia, Klaryso. Jeszcze o mnie usłyszysz — powiedział z ukrytą groźbą w głosie.

— Tędy proszę! — Panna Peake wskazała mu drzwi i sama też podążyła za nim do ogrodu. — Chce pan złapać autobus czy może ma pan tu samochód?

— Zostawiłem auto przy stajniach.

Rozdział VI

Gdy tylko wyszli, Pippa wybuchnęła płaczem.

— On mnie stąd zabierze! — łkała, wczepiając się z całej siły w Klarysę.

— Nie, nie zabierze — zapewniła ją macocha, ale jedyną odpowiedzią Pippy był wybuch złości.

— Nienawidzę go, zawsze go nienawidziłam!

— Pippo, przestań! — upomniała ją ostro Klarysa, obawiając się, że mała wpada w histerię.

Dziewczynka odsunęła się nieco, ale nie przestawała krzyczeć:

— Nie chcę wracać do matki, wolę umrzeć! Zabiję go, zabiję!

— Pippo...

— Ja się zabiję! Podetnę sobie żyły! Klarysa chwyciła ją za ramiona.

— Pippo, opanuj się! Mówię przecież, że wszystko jest w porządku. Jestem przy tobie.

— Ale ja nie chcę wracać do matki! I nienawidzę Olivera! On jest zły, zły do szpiku kości!

— Tak, kochanie, wiem o tym — szeptała uspokajająco Klarysa.

— Nic nie wiesz! — Głos Pippy brzmiał jeszcze bardziej desperacko. — Nie powiedziałam ci wszystkiego, kiedy zabraliście mnie tutaj, po prostu nie byłam w stanie... Nie chodzi tylko o to, że Miranda jest taka wredna, że się ciągle upija czy coś w tym rodzaju. Pewnej nocy, kiedy ona gdzieś balowała, Oliver był ze mną sam w domu i... chyba dużo wypił, sama nie wiem, ale... — Urwała i przez chwilę nie mogła mówić dalej. Wreszcie ze wzrokiem wbitym w podłogę wyznała: — On próbował ze mną tych rzeczy...

— Pippo! — przeraziła się Klarysa. — Co ty chcesz powiedzieć?

Pippa rozejrzała się dookoła z rozpaczą w oczach, jakby w nadziei, że ktoś ją wyręczy.

— Próbował... próbował mnie pocałować, a kiedy go odepchnęłam, zaczął zdierać ze mnie ubranie. A potem... — Znów urwała i zaczęła szlochać.

— Och, moje biedactwo! — szepnęła Klarysa, przytulając ją mocno. — Postaraj się o tym nie myśleć. Masz to już za sobą i nic podobnego więcej cię nie spotka. Dopilnuję, żeby Oliver został ukarany. Co za potwór! Nie ujdzie mu to płazem.

Humor Pippy uległ gwałtownej przemianie. W głosie pojawiła się nutka nadziei, jakby wpadł jej do głowy nowy pomysł.

— Może trafi go piorun?

— Bardzo możliwe — przyklasnęła jej Klarysa. — Bardzo możliwe. — Twarz jej przybrała wyraz zimnej zaciętości. — No, pozbieraj się jakoś, Pippo. Wszystko jest w porządku. Masz, wytrzymaj nos — dodała, podając jej chusteczkę.

Pippa spełniła polecenie, a potem próbowała wyczyścić suknię Klarysy ze śladów swych łez. Klarysa zmusiła się do uśmiechu.

— Idź na górę i weź kąpiel. Przyda ci się, bo twoja szyja jest wprost czarna.

Pippa wróciła chyba do normalnego stanu, bo rzuciła beztrosko:

— Zawsze taka jest.

Skierowała się ku drzwiom, ale w połowie drogi wróciła biegiem do macochy.

— Nie dasz mnie zabrać, prawda? — spytała błagalnie.

— Nie! Po moim trupie. Czy to ci wystarczy?

Pippa uścisnęła ją jeszcze raz i wyszła. Klarysa stała przez chwilę, pogrążona w myślach. Nagle zorientowała się że w pokoju jest ciemno, więc przekręciła kontakt przy wejściu, włączając ukryte oświetlenie. Następnie zamknęła drzwi do ogrodu, usiadła na sofie i zapatrzyła się w przestrzeń.

Minęło kilka minut. Kiedy trzasnęły frontowe drzwi, spojrzała wyczekująco w stronę hallu. Po chwili do salonu wszedł Henry Hailsham-Brown. Był to przystojny mężczyzna lat około czterdziestu o twarzy pozbawionej wyrazu, w grubych rogowych okularach. W rękę trzymał teczkę.

— Witaj, kochanie — rzekł, zapalając kinkiety i kładąc teczkę na fotelu.

— Cześć, Henry! Czyż nie był to wyjątkowo paskudny dzień?

— Tak sądzisz? — spytał, całując żonę w policzek.

— Sama nie wiem, od czego zacząć. Lepiej najpierw się napij.

— Nie tak zaraz — odparł. Podeszedł do okien i zaciągnął zasłony. — Kto jest w domu?

Klarysa zdziwiła się nieco.

— Nikogo nie ma. Elginowie mają wychodne. To “czarny czwartek”, rozumiesz. Na kolację jest szynka, krem czekoladowy i kawa, dobra kawa, ponieważ sama ją zaparzę.

Jedyną odpowiedzią był pytający pomruk.

— Henry, czy coś się stało? — spytała Klarysa, zaniepokojona zachowaniem męża.

— No... można tak powiedzieć.

— Coś złego? Czy to Miranda?

— Nie, nic złego. Powiedziałbym, że wręcz przeciwnie. Tak, przeciwnie.

— Kochanie... — Klarysa mówiła z uczuciem, ale i pewną nutką humoru. — Czyżby za tą nieprzeniknioną fasadą urzędnika Foreign Office kryło się zwykłe, ludzkie podniecenie?

Na twarzy Henry'ego pojawił się wyraz przyjemnego wyczekiwania.

— Cóż... to rzeczywiście jest coś ekscytującego. — I po chwili przerwy dodał: — W Londynie jest lekka mgła.

— Czy to mgła tak cię podnieca?

— Nie, oczywiście, że nie chodzi o mgłę.

— A więc?

Henry rozejrzał się szybko, jakby podejrzewał, że ktoś go może podsłuchać, po czym usiadł obok żony na sofie.

— Będziesz musiała zachować to przy sobie — rzekł tonem głębokiej powagi.

— Tak?

— To naprawdę wielki sekret. Nikt nie może się dowiedzieć... No, ale ty musisz.

— Więc mi powiedz.

Henry znów się rozejrzał, aż wreszcie wykrztusił:

— Sowiecki premier Kalendorff przyjeżdża jutro do Londynu na bardzo ważne rozmowy z naszym premierem. Tylko ani mru–mru.

Klarysa nie wyglądała na zaskoczoną.

— Tak, wiem — odrzekła obojętnie.

— Jak to? — zdziwił się Henry. — Skąd możesz wiedzieć?

— Przeczytałam w niedzielnej gazecie.

— Nie rozumiem, jak możesz czytać te szmatławce dla plebsu — oburzył się jej mąż, wyraźnie wytrącony z równowagi. — Zresztą gazeciarze nie mogli wiedzieć o wizycie Kalendorffa. To sprawa ściśle tajna.

— Mój ty biedaku! — szepnęła Klarysa. I po chwili dodała ze współczuciem, ale i pewną dozą niedowierzania: — Ściśle tajna? Doprawdy! Że też wy, na górze, wierzycie w takie rzeczy!

Henry wstał i zaczął chodzić po pokoju. Wyglądał na poważnie zmartwionego.

— Boże, musiał być jakiś przeciek...

— Moglibyście się już nauczyć — zauważyła cierpko Klarysa — że zawsze są przecieki. I powinniście być na to przygotowani.

Henry poczuł się urażony.

— Dopiero dziś wieczorem ogłoszono oficjalny komunikat. Samolot Kalendorffa spodziewany jest na Heathrow o dwudziestą czterdzieści, ale w tej sytuacji... — Spojrzał z powątpiewaniem na żonę. — Klaryso, czy naprawdę mogę polegać na twojej dyskrecji?

— Jestem znacznie bardziej dyskretna niż dziennikarze

z niedzielnych gazet — zaprotestowała, spuszczając nogi na podłogę.

Przysiadł na poręczy i pochylił się konspiracyjnie do jej ucha.

— Konferencja odbędzie się jutro w Whitehall, ale dobrze by było, gdyby najpierw sir John mógł porozmawiać z Kalendorffem w cztery oczy. Teraz oczywiście wszyscy reporterzy czatują na Heathrow jak sępy, więc ewentualne ruchy Kalendorffa staną się tak czy inaczej własnością publiczną.

Rozejrzał się znowu, jakby w obawie, że za jego plecami kryje się wścibski reporter.

— Na szczęście ta mgła jest nam bardzo na rękę.

— Mów dalej! Już się trzęsę z emocji.

— W ostatniej chwili odradzą pilotowi lądowanie na Heathrow. Samolot zostanie skierowany, jak zwykle w takich wypadkach...

— Na Bindley Heath — dokończyła Klarysa. — To zaledwie piętnaście mil stąd. Rozumiem.

— Zawsze jesteś taka prędką, moja droga — rzekł Henry z wymówką w głosie. — Ale owszem, masz rację. Pojadę tam teraz samochodem, spotkam Kalendorffa i przywiozę go tutaj. Premier jest już w drodze z Downing Street. Pół godziny to aż nadto, żeby odbyć rozmowę, a potem Kalendorff z sir Johnem pojadą razem do Londynu.

Tu przerwał i odszedł kilka kroków dalej. Potem odwrócił się i wyznał z rozbrajającą szczerością:

— Wiesz, Klaryso, to może mieć wielkie znaczenie dla mojej kariery. Fakt, że chcą spotkać się pod moim dachem, to dowód ogromnego zaufania.

— Więc tak się stanie — rzekła stanowczo Klarysa, przytulając się do męża. — Henry, to po prostu wspaniale!

— Nawiasem mówiąc, Kalendorff będzie tu występował jako pan Jones i tak należy się do niego zwracać.

— Pan Jones? — powtórzyła, starając się nie dopuścić do swego głosu zdziwienia, co niezbyt się jej powiodło.

— Tak, właśnie tak. Z nazwiskami nigdy za wiele ostrożności.

— Owszem, ale... akurat pan Jones? Nie mogliście wymyślić nic lepszego? — Pokręciła z powątpiewaniem głową. — A co ze mną? Czy mam się wycofać do haremu, czy raczej przynieść drinki, wymamrotać kilka słów powitania i dyskretnie się ulotnić?

Henry patrzył na nią z lekkim niepokojem.

— Musisz traktować tę sprawę na serio.

— Ależ kochanie, czy nie mogę brać tego na serio, a zarazem dobrze się bawić?

Rozważał tę kwestię przez chwilę, po czym odpowiedział z powagą:

— Chyba najlepiej będzie, jeśli w ogóle się nie pokażesz. Na Klarysie nie zrobiło to większego wrażenia.

— No dobrze, a co z jedzeniem? — spytała. — Czy nie zechcą czegoś przekąsić?

— Ach, nie. Nie ma mowy o żadnym posiłku.

— Kilka kanapek, na przykład... Najlepiej z szynką. Zawinę je w serwetkę, żeby się nie zeschły. Gorąca kawa w termosie... Tak, to im się przyda. A krem czekoladowy zabiorę z sobą na górę, żeby się nim pocieszać po wykluczeniu z towarzystwa.

— Posłuchaj, Klaryso... — zaczął Henry z dezaprobatą, ale w tym momencie żona zarzuciła mu rękę na szyję.

— Kochanie, jestem śmiertelnie poważna, naprawdę. Nie będzie żadnej wpadki, zobaczysz.

Henry uwolnił się łagodnie z jej objęć.

— A co ze starym Rolyem? — zapytał.

— Je obiad w klubie razem z Jeremym i Hugonem. Mają później grać w brydża, więc Roly i Jeremy na pewno nie wrócą przed północą.

— A Elginowie wyszli?

— Wiesz przecież, że zawsze w czwartki chodzą do kina. Nie pokażą się przed jedenastą.

Henry nareszcie wyglądał na zadowolonego.

— Świetnie! A więc sir John i pan., eee...

— Jones — podpowiedziała mu żona.

— Tak jest, kochanie. Pan Jones i premier wyjdą dosta—

tecznie wcześniej. — Zerknął na zegarek. — Wezmę szybki prysznic i zaraz ruszam na Bindley Heath.

— A ja zajmę się kanapkami — oświadczyła Klarysa, zmierzając ku drzwiom.

Henry wziął z fotela teczkę i krzyknął jeszcze za żoną:

— Musisz pamiętać o gaszeniu światła, moja droga. Sami płacimy za prąd i sporo nas to kosztuje.

— Pogasił wszystkie lampy. — To nie Londyn, rozumiesz.

Po raz ostatni ogarnął spojrzeniem pogrążony w ciemnościach salon. Przez szpary w zasłonach wpadało tylko blade światło księżyca. Pan domu skinął głową i wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi.

Rozdział VII

Trzej panowie dotarli do klubu golfowego, ale Hugo nadal nie mógł zapomnieć Klarysie figla z testowaniem porto.

— Dałaby sobie wreszcie spokój z takimi kawałami — burczał, torując sobie drogę do baru. — Pamiętasz, Roly, ten telegram, który rzekomo przysłano mi z Whitehall? Miałem niby to otrzymać tytuł szlachecki! Przy obiedzie wspomniałem o tym w zaufaniu Henry’emu i dopiero kiedy zauważyłem jego spłoszony wzrok, a Klarysa zaczęła chichotać, domyśliłem się, że to jej sprawka. Czasem jest okropnie dziecinna.

— Tak, rzeczywiście. I uwielbia grać jakieś role. Zresztą naprawdę była z niej kiedyś dobra aktorka w szkolnym kółku dramatycznym. Myślałem, że potraktuje rzecz poważnie i wstąpi na prawdziwą scenę. Potrafi tak przekonywająco wmawiać ludziom największe kłamstwa, a przecież na tym właśnie polega praca aktora.

Sir Rowland oddał się na chwilę wspomnieniom, po czym ciągnął:

— Najlepszą szkolną przyjaciółką Klarysy była niejaka Jeanette Collins, córka słynnego piłkarza. Sama też miała fioła na punkcie futbolu. No i pewnego dnia Klarysa zadzwoniła do niej i zmienionym głosem podała się za rzeczniczkę prasową pewnej drużyny. Powiedziała Jeanette, że wybrano ją na nową maskotkę drużyny, ale pod warunkiem, że jeszcze tego samego dnia przebierze się za królika i stanie przed stadionem w Chelsea, kiedy kibice zaczną się gromadzić przed kasą. Jeanette jakimś cudem zdobyła kostium i pognąła na stadion, gdzie została wyśmiana przez setki ludzi, a podstępna przyjaciółka zrobiła jej zdjęcie. Biedna dziewczyna była tak wściekła, że nie sądzę, by ich przyjaźń przetrwała.

— No tak — burknął z rezygnacją Hugo, po czym skupił całą uwagę na poważnym problemie wyboru dań z karty.

Tymczasem do opuszczonego przez Hailsham–Brownów salonu wśliznął się przez ogrodowe drzwi Oliver Costello, uchylając tylko tyle zasłony, żeby wpuścić trochę księżycowej poświaty. Omiótłszy pokój promieniem kieszonkowej latarki, podszedł do biurka, zapalił stojącą na nim lampę i podniósł zapadkę skrytki. Nagle drgnął i zgasił światło. Stał przez chwilę nieruchomo, jakby czegoś nasłuchiwał, po czym wyraźnie uspokojony, znowu zapalił lampę i powrócił do przerwanej czynności.

Za plecami intruza zaczęła się z wolna uchylać płyta regału. Costello zamknął szufladkę, ponownie zgasił światło i w tym momencie ktoś ukryty za płytą wymierzył mu cios w głowę. Nieproszony gość upadł na podłogę za sofą. Płyta — tym razem szybko — wróciła na swoje miejsce.

Pokój na moment pograżył się w ciemności. Od strony hallu nadszedł Henry Hailsham–Brown, zapalił kinkiety i wrzasnął:

— Klaryso!

Włożył okulary i napełnił papierośnicę papierosami ze szkatułki na stoliku.

— Jestem, kochanie — powiedziała, wchodząc, jego żona. — Chcesz kanapkę przed wyjściem?

— Nie, lepiej już wyruszę — odparł, wygładzając nerwowo marynarkę.

— Ależ będziesz o wiele za wcześnie! Przecież droga nie zajmie ci więcej niż dwadzieścia minut.

— Nigdy nic nie wiadomo. Mogę złapać gumę albo co...

— Nie mów takich rzeczy — upomniała go Klarysa, poprawiając mu krawat. — Wszystko idzie jak po maśle.

— A co z Pippą? — zaniepokoił się nagle Henry. — Czy na pewno nie wtargnie tu, kiedy sir John i Kalen... to jest, pan Jones będą rozmawiać w cztery oczy?

— Nie, nie ma strachu. Pójdę do jej pokoju i urządzimy sobie święto. Upieczemy kielbaski, które miałam podać na jutrzejsze śniadanie, i zjemy czekoladowy krem.

Henry uśmiechnął się czule do żony.

— Jesteś dla niej bardzo dobra, kochanie. To jedna z tych rzeczy, za które jestem ci najbardziej wdzięczny. — Zamilkł na chwilę. — Ja... nigdy nie potrafiłem dobrze wyrazić... ale po tylu nieszczęściach... teraz wszystko się zmieniło... — Wziął żonę w ramiona i ucałował ją namiętnie.

Przez chwilę trwali w uścisku, potem Klarysa odsunęła się łagodnie, ale nie puściła jego ręki.

— Dałeś mi dużo szczęścia, Henry. A z Pippą wszystko jest na dobrej drodze. To śliczne dziecko.

Henry popatrzył na nią z miłością.

— No, jedź już po swego pana Jonesa. — Popchnęła go lekko w stronę drzwi. — Pan Jones... Nadal uważani, że nie mogliście wybrać śmiesznieszego pseudonimu.

Wychodził już, kiedy go zapytała:

— Wejdziecie przez frontowe drzwi? Mam je zostawić nie— zamknięte?

— Nie — odparł po namyśle. — Chyba przez ogród.

— Lepiej włóż płaszcz. Jest bardzo zimno. I szalik też ci się przyda.

Wziął posłusznie płaszcz z wieszaka, Klarysa zaś, odprowadziwszy go do drzwi, dodała na pożegnanie:

— I jedź ostrożnie, dobrze?

— Tak, tak. Zawsze jeżdżę ostrożnie.

Zamknawszy za mężem drzwi, Klarysa poszła do kuchni, żeby dokończyć przygotowywanie kanapek. Układając je na talerzu i przykrywając wilgotną serwetką, nie przestawała myśleć o swym starciu z Oliverem Costello. Ze zmarszczonym czołem zaniósła talerz do salonu i postawiła go na stoliku, ale nagle przypomniała sobie gniewną uwagę panny Peake na temat mokrych śladów na meblach. Podniosła talerz i próbowała wytrzeć plamę. Ponieważ niewiele to dało, zastawiła ją po namyśle wazonem z kwiatami, talerz zaś przeniosła na taboret i starannie wyklepała poduszki na sofie. Nucąc z cicha, wzięła książkę Pippy i odłożyła ją na półkę.

— “Czy trup może spotkać trupa wchodząc przez...” — przerwała piosenkę w pół zdania i wydała dziki wrzask, omal nie przewracając się o ciało Costella.

— Oliver... — szepnęła, pochylając się nad leżącym.

Przez chwilę, która wydała się jej wiecznością, wpatrywała się w niego, przejęta zgrozą. Przekonawszy się, że na pewno jest martwy, wyprostowała się szybko i pobiegła ku drzwiom, by zawołać męża, ale nagle uświadomiła sobie, że ten już wyjechał. Zawróciła więc i podniosła słuchawkę telefonu. Wybrała kilka cyfr i zaraz odłożyła ją z powrotem. Stała przez jakiś czas w zamyśleniu, przyglądając się ruchomej ścianie. Nagle powzięła decyzję; zerknawszy jeszcze raz na płytę, zaczęła ciągnąć w jej stronę zwłoki.

Pochłonięta tą czynnością, nie zauważyła, że płyta uchyliła się z wolna i z wnęki wyszła Pippa w szlafroku narzuconym na pizamę.

— Klaryso! — jęknęła, podbiegając do macochy. Ta starała się osłonić sobą ciało.

— Pippo, kochanie, nie patrz tu! — prosiła, próbując odwrócić dziewczynkę. — Nie patrz!

— Ja nie chciałam — krzyknęła Pippa zduszonym głosem. Przerażona Klarysa ścisnęła ją za ramiona.

— Pippo... Czy to ty...

— On nie żyje, prawda? Jest zupełnie martwy? — pytała Pippa wśród histerycznych łkań. — Nie chciałam go zabić!

— Cicho, cicho, kochanie. Wszystko w porządku. Chodź tu, usiądź przy mnie — szeptała Klarysa, prowadząc ją do fotela.

— Ja nie chciałam... Nie chciałam go zabić — powtarzała w kółko dziewczynka.

— Oczywiście, że nie chciałaś — zgodziła się Klarysa. — Teraz posłuchaj mnie uważnie...

Dziewczynka szlochała jeszcze głośniejsze, więc macocha wreszcie na nią krzyknęła:

— Posłuchasz mnie czy nie?! Wszystko będzie dobrze. Musisz zapomnieć o tym, co się stało.

Zapomnieć, rozumiesz?

— Dobrze, ale...

— Pippo — rzekła Klarysa z mocą. — Musisz mi zaufać.

Wszystko się ułoży, tylko bądź dzielna i rób dokładnie to, co ci powiem.

Łkania nadal nie ustawały.

— Pippo! — Klarysa obróciła dziewczynkę twarzą do siebie. — Zrobisz, co ci powiem, prawda?

— Tak, tak, zrobię — łkała, kładąc głowę na jej ramieniu.

— No to w porządku. Teraz pójdziesz prosto na górę i położysz się do łóżka.

— Ale ty pójdziesz ze mną, dobrze?

— Tak, tak. Zaraz przyjdę, za chwilę. I przyniosę ci tabletkę, a potem zaśniesz. Rano wszystko będzie wyglądało inaczej. — Spojrzała raz jeszcze na ciało i dodała: — Może w ogóle nie ma powodu do zmartwienia.

— Ale on nie żyje, prawda?

— Może żyje — mruknęła bez przekonania Klarysa. — Zobaczę, a teraz już idź.

Pippa, wciąż popłakując, opuściła pokój. Klarysa odprowadziła ją wzrokiem, a następnie podeszła do ciała.

— Przypuśćmy, że znalazłam w salonie trupa. Co się wtedy robi? — mamrotała pod nosem. Stała przez chwilę, pogrążona w myślach, aż wreszcie wykrzyknęła z rozpaczą: — Boże, co ja mam zrobić?!

Rozdział VIII

Piętnaście minut później Klarysa nadal stała w salonie, mrużąc coś do siebie, ale wcześniej odwaliła kawał roboty. Teraz paliły się wszystkie lampy, ruchoma płyta była szczelnie zamknięta, a zasłony na otwartych drzwiach do ogrodu zaciągnięte. Ciało Olivera Costello wciąż jeszcze leżało za sofą, ale Klarysa zastawiła je meblami. Na składanym stoliku do brydża, który wraz z czterema krzesłami znalazł się teraz pośrodku pokoju, ułożyła karty i bloczki do zapisu. Na jednym z nich gryzmoła teraz jakieś liczby.

— Trzy piki, cztery kiery, cztery bez atu, pas — mamrotała, wskazując kolejno rzekome odżywki graczy. — Pięć karo, pas, sześć pików... kontra no i chyba leżą. — Umilkła na chwilę i przyjrzała się stolikowi. — Zobaczmy... kontra po partii, dwie lewy, pięćset... a może dać im to wygrać? Nie.

Dywagacje przerwał jej powrót sir Rowlanda, Hugona i Jeremy'ego, którzy weszli przez ogrodowe drzwi. Hugo zatrzymał się na chwilę i zamknął jedno z okien.

Klarysa odłożyła notes i ołówek.

— Dzięki Bogu, że jesteście — wykrzyknęła, śpiesząc im na spotkanie.

— Co to wszystko ma znaczyć? — spytał sir Rowland z troską w głosie.

— Kochani, musicie mi pomóc.

Jeremy spojrzał na stół z rozłożonymi kartami.

— Wygląda na partyjkę brydża — rzekł wesoło.

— Zachowujesz się dość melodramatycznie, Klaryso — zauważył Hugo. — Co ty knujesz?

Klarysa chwyciła sir Rowlanda za rękę.

— To coś poważnego. Bardzo poważnego. Pomóżecie mi, prawda?

— Oczywiście, że ci pomożemy, ale co tu się dzieje?

— Właśnie, wytłumacz, o co tym razem chodzi? — nalegał cokolwiek znudzony Hugo.

Jeremy też nie wyglądał na przejętego.

— Ty coś kombinujesz, Klaryso. Mów, co się stało, znalazłaś trupa, czy jak?

— Jakbyś zgadł. Rzeczywiście, znalazłam trupa.

— Co przez to rozumiesz? — spytał zaintrygowany Hugo.

— Jest tak, jak powiedział Jeremy. Weszłam do pokoju i znalazłam trupa.

Hugo obrzucił wzrokiem pokój.

— Nie wiem, o czym mówisz. Jaki trup? Gdzie?

— To nie jest żaden dowcip — krzyknęła ze złością Klarysa. — Jest tutaj, sami zobaczcie. Za sofą.

Popchnęła sir Rowlanda w stronę sofy, pozostali także podeszli bliżej.

— Mój Boże, ona ma rację — mruknął Jeremy, zaglądając za oparcie.

Hugo z sir Rowlandem pochyłili się nad zwłokami.

— Ależ to Oliver Costello! — wykrzyknął ten ostatni.

— Boże Wszechmogący! — westchnął Jeremy, podchodząc do okien i zaciągając zasłony.

— Tak — przyznała Klarysa. — To Oliver Costello.

— Co on tu robił? — spytał sir Rowland.

— Chciał porozmawiać na temat Pippy. Zjawił się tuż po waszym wyjściu.

— A co mu do Pippy?

— On i Miranda odgrążali się, że ją nam odbiorą. Ale to już nie ma znaczenia, później wam opowiem, teraz musimy się pośpieszyć, jest bardzo mało czasu.

Sir Rowland podniósł ostrzegawczo rękę.

— Chwileczkę. Musimy ustalić fakty. Co się stało po jego przybyciu?

— Powiedziałam mu, że jej nie dostaną, i wtedy sobie poszedł.

— Ale wrócił?

— Najwyraźniej.

— Jak? Kiedy?

— Nie wiem. Po prostu weszłam do pokoju i... zobaczyłam go tam... — Wskazała ręką za sofę.

— Rozumiem — mruknął sir Rowland, znów pochyłając się nad zwłokami. — No cóż, faktycznie nie żyje. Uderzono go w głowę czymś ciężkim i ostrym. — Patrzył po kolei w twarze zebranych. —

Obawiam się, że to będzie nieprzyjemne, ale pozostaje nam tylko jedno: trzeba zadzwonić na policję i... — Ruszył w stronę telefonu.

Klarysa przerwała mu ostro.

— Nie — rzekła stanowczym głosem.

— Powinnaś to zrobić od razu — przekonywał ją, podnosząc słuchawkę. — Nie sądzę jednak, by cię zbytnio winili.

— Nie, Roly, przestań! — Przebiegła przez pokój i wyrwała mu słuchawkę.

— Ależ moja droga! — oburzył się sir Rowland, lecz Klarysa nie dopuściła go do głosu.

— Sama bym zadzwoniła, gdybym chciała. Doskonale wiem, że tak trzeba, nawet zaczęłam wybierać numer. Ale po namyśle wolałam zadzwonić do klubu i poprosić, żebyście wrócili. — Obróciła się do Jeremy'ego i Hugona. — Nawet nie zapytaliście, dlaczego.

— Zostaw to nam, Klaryso — prosił sir Rowland. — My...

— Wy naprawdę niczego nie rozumiecie. Powiedziałeś, że w razie kłopotów zawsze mogę na ciebie liczyć. No i tego właśnie od was oczekuję: pomocy.

Jeremy stanął tak, żeby nie widziała zwłok.

— Co mamy dla ciebie zrobić? — spytał łagodnie.

— Usunąć stąd ciało.

— Nie gadaj głupstw, moja droga — odparł sir Rowland. — Przecież to morderstwo.

— No i właśnie w tym rzecz. Nie wolno dopuścić, by trupa znaleziono w tym domu.

— Nie wiesz, o czym mówisz — prychnął gniewnie Hugo. — Naczytałaś się kryminałów, ale w prawdziwym życiu nie robi się żadnych sztuczek, kiedy znajdzie się trupa.

— Ale ja i tak już go przesunęłam. Odwróciłam go, żeby sprawdzić, czy jeszcze żyje, a potem zaczęłam ciągnąć ciało do wnęki, tylko uświadomiłam sobie, że bez pomocy nie dam rady. I wtedy zadzwoniłam do klubu, a kiedy na was czekałam, ułożyłam plan.

— I stąd ten stolik z kartami — zauważył Jeremy. Klarysa podniosła bloczek z zapisem.

— Owszem. To będzie nasze alibi.

— Co ty u licha... — zaczął Hugo, ale Klarysa nie dała mu dokończyć.

— Dwa i pół robra! Obmyśliłam cały rozkład kart i zapisałam przebieg gry. Musicie tylko

uzupełnić go waszym charakterem pisma.

Sir Rowland wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami.

— Chyba zwariowałaś, Klaryso. Jesteś zupełnie szalona.

— Wszystko starannie obmyślałam — ciągnęła, nie zwracając na niego uwagi. — Ciało musi być usunięte. — Zerknęła na Jeremy'ego. — Zrobicie to we dwóch, zwłokami trudno przecież manewrować w pojedynkę, już się o tym przekonałam.

— A gdzie, u diabła, mielibyśmy je zabrać? — zdenerwował się Hugo.

Klarysa miała gotową odpowiedź:

— Chyba najlepiej do Marsden Wood. To tylko dwie mile stąd. — Wskazała ręką kierunek. — Zaraz za główną bramą trzeba skręcić w boczną drogę. Jest bardzo wąska i zupełnie nieuczęszczana. — Obróciła się do sir Rowlanda. — Po prostu wjedziecie do lasu, zostawicie samochód na poboczu, a potem wróćcie piechotą.

— Mamy wyrzucić trupa w lesie? — przeraził się Jeremy.

— Nie, zostawicie go w samochodzie. To jego auto, nie rozumiesz? Zaparkował je koło stajni.

Wszyscy trzej panowie przybrali nieprzeniknione miny.

— To naprawdę łatwe — przekonywała ich Klarysa. — Nawet gdyby ktoś was zauważył w drodze powrotnej, to w tych ciemnościach nikogo nie rozpozna. I macie alibi: wszyscy czworo graliśmy w brydża.

Odłożyła notes na stolik, bardzo z siebie zadowolona. Oszłomieni panowie nie odrywali od niej oczu. Hugo nie przestawał krążyć po pokoju.

— Ja... ja... — bąkał, wymachując rękami. Klarysa kontynuowała swoje instrukcje:

— Oczywiście musicie mieć rękawiczki, żeby nie zostawiać nigdzie odcisków palców. Proszę, przygotowałam je dla was. — Sięgnęła pod poduszkę i wyjęła trzy pary.

Sir Rowland nie przestawał się jej przyglądać.

— Twój talent do zbrodni wprost zapiera mi dech! We wzroku Jeremy'ego krył się czysty podziw.

— Wszystko obmyślała, co?

— Owszem — przyznał Hugo — ale to i tak stek bzdur.

— No, musicie się śpieszyć — ponagliła ich. — O dziewiątej będzie tu Henry z panem Jonesem.

— Z panem Jonesem? A któż to? — zdziwił się sir Rowland. Klarysa przytknęła dłoń do czoła.

— O Boże. Nigdy nie przypuszczałam, że zbrodnia wymaga aż tylu wyjaśnień! Myślałam, że po prostu poproszę was o pomoc i uzyskam ją... — Popatrzyła na nich bezradnie. — No, moi złoci, musicie... — Pogłaskała Hugona po głowie. — Kochany, kochany Hugo...

— Te twoje sceniczne gierki są bardzo udane — rzekł tamten w stanie najwyższego wzburzenia — ale zbrodnia to paskudna i bardzo poważna sprawa. Wszelkie kombinacje wpędzą cię tylko w prawdziwe kłopoty. Nie można po nocy wozić zwłok tam i z powrotem jak gdyby nigdy nic.

Klarysa podeszła do Jeremy'ego i wsunęła mu dłoń pod ramię.

— Jeremy, mój drogi, przecież nie zostawisz mnie bez pomocy, prawda? — powtarzała błagalnie.

— No dobrze, wchodzę w to! Cóż znaczy jeden trup, a niechby i dwa, między przyjaciółmi?

— Przestań, młody człowieku — zgromił go Hugo. — Nie zamierzam na to pozwolić. Teraz, Klaryso, ja ci powiem, co masz zrobić. Bądź co bądź musimy pomyśleć także o Henrym...

Klarysa rzuciła mu rozpaczliwe spojrzenie.

— Ależ mnie właśnie o niego chodzi!

Rozdział IX

Trzej panowie przyjęli oświadczenie Klarysy w milczeniu. Sir Rowland kręcił ponuro głową, Hugo nadal wyglądał na zaintrygowanego, natomiast Jeremy wzruszył tylko ramionami, jakby porzucił wszelką nadzieję na zrozumienie sytuacji.

Klarysa wzięła głęboki oddech i zaczęła wyjaśnienia:

— Dziś wieczorem wydarzy się coś bardzo ważnego. Henry pojechał... żeby przywieźć tu pewną osobę. To ściśle tajna sprawa wielkiej wagi, związana z polityką, nikt nie może o niej wiedzieć, absolutnie nikt.

— Przecież Henry pojechał na spotkanie z jakimś panem Jonesem? — spytał z powątpiewaniem sir Rowland.

— Wiem, to głupie, ale tak go postanowili nazywać. Nie mogę wam podać właściwego nazwiska ani w ogóle żadnych szczegółów. Obiecałam Henry'emu, że nie pisnę ani słówka, lecz muszę was przekonać, iż nie jestem zwykłą... zwykłą kretynką i nie gram żadnej roli, jak Hugo to określił. — Zwróciła się teraz do sir Rowlanda: — Jak sądzisz, co się stanie z karierą Henry'ego, jeśli wejdzie tu z ową ważną osobą (zresztą ktoś równie ważny ma jeszcze dojechać z Londynu) i zastanie policjantów prowadzących śledztwo w sprawie morderstwa? W dodatku morderstwa człowieka, który poślubił jego byłą żonę?

— Dobry Boże! — przeraził się sir Rowland. Zajrzał Klarysie głęboko w oczy i spytał podejrzliwie: — Na pewno nie wymyśliłaś tego wszystkiego? To nie jest twoja kolejna gierka? Nie zamierzasz wystrychnąć nas na dudków?

Klarysa pokręciła smętnie głową.

— Nikt nigdy mi nie wierzy, kiedy mówię prawdę.

— Przepraszam cię, moja droga. Teraz rozumiem, że problem jest znacznie trudniejszy, niż przypuszczałem.

— Tak? Więc chyba rozumiesz i to, że należy za wszelką cenę usunąć stąd ciało.

— Gdzie ten samochód? — spytał Jeremy.

— Koło stajni.

— A służba ma wolne? — Tak.

Jeremy wziął parę rękawiczek.

— W porządku — rzekł zdecydowanym tonem. — Czy mam przyprowadzić tu auto, czy zanieść tam ciało?

Sir Rowland powstrzymał go ruchem ręki.

— Chwileczkę — rzekł. — Nie ma pośpiechu.

Jeremy odłożył rękawiczki, lecz Klarysa wykrzyknęła z rozpaczą:

— Ależ musimy się śpieszyć!

Sir Rowland patrzył na nią z powagą.

— Nie jestem pewien, czy to najlepszy plan. Znacznie prościej byłoby opóźnić znalezienie ciała do jutrzejszego ranka. Gdybyśmy przenieśli je na przykład do drugiego pokoju, dałoby się to jakoś wytłumaczyć.

Klarysa patrzyła teraz wyłącznie na niego.

— To ciebie muszę przekonać, prawda? Jeremy jest gotów, Hugo może się wahać i kręcić głową, ale i tak się zgodzi, natomiast ty... — Otworzyła drzwi do biblioteki. — Hugo, Jeremy, czy możecie nas, na chwilę zostawić? Muszę pomówić z Rolem w cztery oczy.

Obaj panowie posłusznie skierowali się do wyjścia.

— Nie daj się jej wciągnąć w żadne matactwa — ostrzegł przyjaciela Hugo.

Klarysa rzuciła Jeremy'emu krzepiący uśmiech:

— Powodzenia! — szepnęła.

Sir Rowland z miną nie wróżącą niczego dobrego zasiadł przy stoliku do brydza. Klarysa zajęła miejsce naprzeciwko niego i rzekła:

— No?

— Moja droga — ostrzegł ją sir Rowland. — Bardzo cię kocham i zawsze będę kochał, ale zanim zadasz pytanie, wiedz, że odpowiedź jest prosta: nie.

Klarysa zaczęła mówić poważnie i z emfazą:

— To ciało absolutnie nie może być znalezione w naszym domu. Jeśli odkryją je w Marsden Wood, będę mogła zeznać, że Costello był tu dziś z krótką wizytą i podam też godzinę jego wyjścia. Na szczęście panna Peake sama go wyprowadziła i nie ma potrzeby wspominać, że w ogóle tu wracał. — Wzięła głęboki oddech. — Natomiast gdyby znaleziono go tutaj, wszyscy będziemy poddani przesłuchaniu. — Zrobiła pauzę, po czym dodała z mocą: — A Pippa tego nie zniesie.

— Pippa? — zdumiał się sir Rowland.

— Tak, Pippa. Załamie się i przyzna do zbrodni.

— Pippa! — powtórzył sir Rowland, z trudem przyjmując do wiadomości to, co usłyszał.

Klarysa pokiwała tylko głową.

— Mój Boże!

— Była przerażona, kiedy dziś tu przyszedł. Próbowałam ją zapewnić, że jej nie oddamy, ale chyba nie uwierzyła. Wiesz przecież, przez co przeszła? Że miała załamanie nerwowe? No więc nie sądzę, by wytrzymała życie u Olivera i Mirandy. Pippa była tutaj, kiedy odkryłam ciało. Powiedziała, że nie chciała go zabić i z pewnością nie kłamała. To nic innego jak panika. Po prostu złapała tę laskę i uderzyła na oślep.

— Jaką laskę?

— Jedną ze stojaka w hallu. Jest we wnęce, zostawiłam ją tam, nie dotykając.

Sir Rowland myślał przez chwilę, po czym spytał szorstko:

— Gdzie ona teraz jest?

— W łóżku. Dałam jej tabletkę na sen. Powinna spać do rana. Jutro wywiozę ją do Londynu i oddam pod opiekę mojej starej niani.

Sir Rowland wstał i poszedł przyjrzeć się zwłokom. Następnie wrócił do Klarysy i ucałował ją czule.

— Wygrałaś, moja droga. Winienem ci przeprosiny, nie wolno nam narażać dziecka. Powiedz tamtym, żeby wracali.

Podszedł do okien i zasunął szczelnie zasłony. Klarysa w tym czasie otworzyła drzwi do biblioteki.

— Hugo, Jeremy, pozwólcie tu, proszę. Obaj panowie wrócili do salonu.

— Ten wasz lokaj nie pozamykał wszystkiego porządnie — gderał Hugo. — Okno w bibliotece było otwarte, dopiero teraz je zamknąłem. — I zwracając się do sir Rowlanda, spytał krótko: — I co?

— Zostałem przekabacony — brzmiała równie zwięzła odpowiedź.

— Dobra robota! — zauważył Jeremy.

— Nie ma czasu do stracenia — oświadczył sir Rowland. — Rękawiczki! — Włożył przeznaczoną

dla siebie parę i dopilnował, by tamci poszli za jego przykładem. Następnie podszedł do ruchomej ścianki. — Jak to się otwiera?

Jeremy pośpieszył mu z pomocą.

— W ten sposób, proszę pana — rzekł, przesuając dźwignię. — Pippa mi pokazała.

Sir Rowland zajrzał do wnęki i wyciągnął laskę.

— Owszem, jest dość ciężka... Cios w głowę... A jednak nigdy bym nie pomyślał...

— Czego byś nie pomyślał? — chciał wiedzieć Hugo. Tamten kręcił z namysłem głową.

— Zdawało mi się, że to powinno być coś z ostrą krawędzią, jakiś metal...

— Masz na myśli tasak?

— No nie wiem — wtrącił Jeremy. — Dla mnie to wygląda na narzędzie mordu. Można z łatwością roztrzaskać tym czaszkę.

— Najwyraźniej — zgodził się sucho sir Rowland i wręczył laskę Hugowi. — Spal to, proszę, w piecu kuchennym. Warrender, pan przeniesie ze mną zwłoki do auta.

Zajęli pozycje po obu stronach ciała i już mieli je podnieść, kiedy zadźwięczał dzwonek.

— Co to? — zdenerwował się sir Rowland.

— Dzwonek do głównych drzwi — wyjaśniła spłoszona Klarysa. Wszyscy zastygli bez ruchu. — Kto to może być? Za wcześnie na Henry'ego i eee... pana Jonesa. To musi być sir John.

— Sir John? Chcesz powiedzieć, że spodziewacie się tu samego premiera?

— Tak.

— Hmm... No cóż, musimy coś zrobić. — Dzwonek odezwał się po raz drugi, ale sir Rowland wkroczył już do akcji. — Klaryso, idź otworzyć. Użyj całego swego sprytu, żeby to trwało jak najdłużej. My tymczasem posprzątamy.

Kiedy wyszła do hallu, zwrócił się do pozostałych:

— Bierzemy ciało do wnęki. Potem, kiedy wszyscy będą zajęci naradą, wyniesiemy je przez bibliotekę.

— Świetny pomysł — zgodził się Jeremy, śpiesząc mu z pomocą.

— Jestem wam potrzebny? — zapytał Hugo.

— Nie, nie.

Dwaj panowie dźwignęli ciało pod pachy i zaciągnęli je do wnęki. Chwilę później sir Rowland wyszedł i nacisnął dźwignię. Zanim Jeremy wychynął z tyłu, Hugo przemknął szybko pod jego ramieniem, zabierając z sobą latarkę i laskę. W tym momencie ścianka się zatrzasnęła.

Sir Rowland sprawdził, czy nie ma na ubraniu śladów krwi.

— Rękawiczki! — rzucił, ściągając swoje i chowając je pod poduszką. Jeremy powtarzał jego ruchy. — Brydź!

Usiedli obaj przy stoliku i wzięli karty do rąk.

— Chodź, Hugo, pośpiesz się! — poganiał przyjaciela sir Rowland.

Odpowiedziało mu pukanie ze środka wnęki. Nagle sir Rowland i Jeremy uświadomili sobie, że Hugona nie ma w pokoju i spojrzeli po sobie z przerażeniem. Jeremy skoczył na pomoc.

— Szybko, Hugo! — powtórzył z niecierpliwością sir Rowland, gdy tylko przyjaciel odzyskał wolność.

Ściągnął mu rękawiczki i wepchnął je pod poduszkę, gdy tymczasem Jeremy zatrzasnął z powrotem ściankę. Potem wszyscy trzej zajęli miejsca przy stoliku akurat w chwili, gdy Klarysa wchodziła do salonu, prowadząc dwóch mężczyzn w mundurach.

— To policja, wujku Roly — powiedziała z niewinnym zdumieniem w głosie.

Rozdział X

Starszy z dwóch oficerów policji, krępy, szpakowaty mężczyzna, wszedł za Klarysa do pokoju, natomiast jego kolega zatrzymał się przy drzwiach.

— To jest inspektor Lord — przedstawiła przybysza Klarysa — i... — zawahała się, patrząc na ciemnowłosego młodzieńca o budowie futbolisty — przepraszam, nie zapamiętałam pańskiego nazwiska.

— Konstabl Jones — odpowiedział za kolegę inspektor, po czym zwrócił się do obecnych: — Przykro mi, że przeszkadzamy, ale otrzymaliśmy informację, że popełniono tu morderstwo.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

— Co?!

— Morderstwo!

— Dobry Boże!

— Coś niesłychanego!

W ich głosach brzmiało bezbrzeżne zdumienie.

— Ktoś zatelefonował na posterunek — wyjaśnił inspektor, po czym zwrócił się do Hugona, którego najwyraźniej znał z widzenia: — Dobry wieczór, panie Birch.

— Hm... dobry wieczór, inspektorze.

— Wygląda na to, że ktoś pana nabiera — zauważył sir Rowland. — Przez cały wieczór graliśmy w brydża.

Pozostali przytaknęli skwapliwie, a Klarysa spytała:

— I któż to miał być zamordowany?

— Nie wymieniono żadnego nazwiska. Nasz rozmówca oświadczył tylko, że w Coplestone Court popełniono morderstwo i spytał, czy możemy natychmiast przyjechać. Potem odłożył słuchawkę, zanim zdążyliśmy go o cokolwiek zapytać.

— To musiał być kawał — powiedziała Klarysa i dodała, bardzo zgorzozona: — Co za obrzydliwy pomysł!

Hugo mamrotał coś z dezaprobatą, a inspektor westchnął:

— Zdumiałaby się pani, na jakie świństwa stać co poniektórych...

Przyjrzał się wszystkim po kolei, po czym zwrócił się do pani domu:

— Więc, pani zdaniem, nie wydarzyło się tu dzisiaj nic nadzwyczajnego? — I nie czekając na odpowiedź, dodał: — Może sprawdzę, jak się miewa pan Hailsham-Brown.

— Nie ma go w domu — powiedziała Klarysa. — Spodziewam się go dopiero późnym wieczorem.

— Rozumiem. Kto w tej chwili jest w domu?

— Sir Rowland Delahaye i pan Warrender. Pan Birch, którego pan już zna, wpadł do nas na wieczór.

Sir Rowland i Hugo mruknęli coś pod nosem.

— Ach tak — wykrzyknęła Klarysa, jakby dopiero teraz sobie przypomniała. — Jest jeszcze moja mała pasierbica. Już śpi.

— A służba?

— Zatrudniamy dwoje służących, małżeństwo. Poszli do kina w Maidstone, to ich wolny wieczór.

— Rozumiem.

W tym momencie drzwi do hallu otworzyły się z impetem i wszedł Elgin, niemal zderzając się z konstabłem, który wciąż tkwił na swym posterunku. Zerknąwszy pytająco na inspektora, kamerdyner zwrócił się do Klarysy:

— Czy będę pani potrzebny? Ta wyraźnie się stropiła.

— Myślałam, że jesteście w kinie — wykrzyknęła, czując na sobie wzrok inspektora.

— Wróciliśmy niemal natychmiast, proszę pani — wyjaśnił Elgin. — Żona źle się poczuła. — Po chwili dodał, nieco skrepowany: — Jakies kłopoty z eee... żołądkiem. Czy coś się stało? — spytał, spoglądając to na inspektora, to na konstabla.

— Wasze nazwisko? — warknął inspektor.

— Elgin... Mam nadzieję, że nic...

— Ktoś zadzwonił na policję i powiedział, że popełniono tu morderstwo.

— Morderstwo?

— Co wam o tym wiadomo?

— Nic, proszę pana. Absolutnie nic.

— Więc to nie wy dzwoniście?

— Nie, naprawdę nie.

— Weszliście, jak sędzę przez tylne drzwi?

— Tak, proszę pana — odparł Elgin, ze zdenerwowania jeszcze bardziej potulny niż zwykle.

— Zauważyliście coś niezwykłego?

Kamerdyner zastanawiał się przez chwilę.

— Teraz, kiedy o tym myślę... Owszem, koło stajen widziałem obcy samochód.

— Obcy? Co to ma znaczyć?

— Zastanawiałem się, do kogo mógł należeć. To dziwne miejsce do parkowania.

— Czy ktoś siedział w środku?

— Aż tak się nie przyglądałem.

— Idź no tam, Jones, i sprawdź.

— Jones?! — wyrwało się bezwiednie Klarysie.

— Słucham? — Inspektor obrócił się do niej.

Ale pani domu już zdążyła się opanować.

— Nic, nic... — mruknęła z uśmiechem. — Po prostu nie wyglądał mi na Walijszyka.

Inspektor ruchem ręki odprawił konstabla i Elgina. Kiedy wyszli, w pokoju zapadła cisza. Po chwili Jeremy wstał, przeniósł się na sofę i zaczął jeść kanapki. Oficer odłożył czapkę i rękawiczki na fotel, wziął głęboki oddech i dobitnym głosem przemówił do zebranych:

— Wydaje mi się, że był tu jeszcze ktoś, kogo państwo nie wymienili. Czy na pewno nie oczekiwała pani nikogo?

— Och nie, nie życzyliśmy sobie żadnych innych gości. Mieliśmy czwórkę do brydża i...

— Naprawdę? Sam lubię zagrać.

— Ach, tak! — ucieszyła się Klarysa. — A gra pan systemem Blackwooda?

— Po prostu kieruję się zdrowym rozsądkiem. Proszę mi powiedzieć... Państwo od niedawna tu

mieszkają, prawda?

— Owszem, około sześciu tygodni.

Inspektor nie spuszczał z niej wzroku.

— I przez ten czas nie było żadnych głupich kawałów?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wtrącił się sir Rowland.

— Co pan rozumie przez “głupie kawały”?

Inspektor obrócił się do niego twarzą.

— To dość dziwna historia, proszę pana. Ten dom należał dawniej do pana Sellona, handlarza antyków, który zmarł pół roku temu.

— Ach, tak — przypomniała sobie Klarysa. — Miał jakiś wypadek, prawda?

— Owszem. Spadł ze schodów i uderzył się w głowę. — Inspektor przyjrzał się Jeremy’emu i Hugonowi. — Stwierdzono śmierć wskutek wypadku. Może to prawda, a może i nie.

— Chce pan powiedzieć, że ktoś mógł go zepchnąć umyślnie? — spytała Klarysa.

— Albo uderzył go czymś ciężkim w głowę...

Umilkł. Napięcie wśród zebranych stało się niemal wyczuwalne. Hugo wstał, zrobił kilka kroków w kierunku biurka i usiadł znowu. Pozostali zastygli, jakby ich coś zmroziło. Inspektor rozwijał dalej swą myśl:

— Ktoś mógł ułożyć trupa u podnóża schodów, tak jakby z nich spadł.

— To się zdarzyło na schodach w tym domu? — dopytywała się Klarysa.

— Nie, w sklepie. Nie było wyraźnych dowodów, oczywiście, ale pan Sellon był dość podejrzanym człowiekiem.

— Pod jakim względem? — chciał wiedzieć sir Rowland.

— Cóż... Parę razy musiał się przed nami tłumaczyć z tego i owego. Brygada antynarkotykowa z Londynu także się nim swego czasu interesowała. Ale to tylko podejrzenia.

— Mówiąc oficjalnie, czy tak?

— Właśnie tak, proszę pana — odparł inspektor znaczącym tonem.

— A... nieoficjalnie?

— Obawiam się, że nie możemy się w to zagłębiać. — Odwrócił się do Jeremy'ego i Hugona. — A jednak była pewna dziwna okoliczność. Na biurku pana Sellona leżał niedokończony list. Nieboszczyk wspominał w nim, iż wszedł w posiadanie nadzwyczaj rzadkiego przedmiotu... — tu inspektor urwał i spojrzał znów na sir Rowlanda — ...za którego autentyczność ręczy i za który żąda czternastu tysięcy funtów.

Sir Rowland się zamyślił.

— Czternaście tysięcy funtów... — mruknął, po czym głośno dodał: — Rzeczywiście, ogromna suma. Ciekawe, co też to mogło być? Pewnie jakiś klejnot, choć słowo "autentyczność" sugerowałoby... sam nie wiem, obraz?

Jeremy nadal jadł kanapki.

— Tak, to możliwe — zgodził się inspektor. — W sklepie nie było niczego o tak wielkiej wartości, towarzystwo ubezpieczeniowe zadbało o inwentaryzację. Wspólniczka pana Sellona prowadzi w Londynie własny interes i oświadczyła listownie, że w niczym nie może nam pomóc.

Sir Rowland z wolna kiwał głową.

— Więc mógł zostać zamordowany, a ów przedmiot skradziono.

— To całkiem prawdopodobne. Ale domniemany złodziej niekoniecznie coś znalazł.

— Czemu pan tak uważa?

— Ponieważ od tego czasu do sklepu dwukrotnie się włamywano. W obu wypadkach wszystko zostało splądrowane.

— Czemu pan nam o tym opowiada? — spytała zaintrygowana Klarysa.

— Gdyż, szanowna pani, pomyślałem sobie, że jeśli pan Sellon chciał coś ukryć, mógł trzymać to w domu, a nie w sklepie. Dlatego właśnie pytałem, czy nie wydarzyło się nic godnego uwagi.

Podnosząc rękę tak, jakby nagle sobie coś przypomniała, wykrzyknęła:

— Ależ tak! Nie dalej jak dzisiaj ktoś zadzwonił, poprosił mnie do telefonu, a kiedy podeszłam, odłożył słuchawkę. To dość dziwne, prawda? — I obróciwszy się do Jeremy'ego, dodała: — No oczywiście. Wiesz, ten gość, który tu kiedyś przyszedł i chciał kupić biurko... Podejrzany typ w kraciastym garniturze.

Inspektor natychmiast podszedł do biurka.

— To tutaj?

— Tak. Powiedziałam mu, że ten mebel nie jest naszą własnością, ale chyba mi nie uwierzył. Oferował wysoką cenę, znacznie wykraczającą ponad rzeczywistą wartość.

— Bardzo interesujące — zauważył inspektor. — W takich starych biurkach często bywają sekretne szufladki.

— Owszem, w tym także jest. Ale nie znaleźliśmy tam niczego ciekawego. Tylko jakieś stare autografy.

— Stare autografy mogą być wiele warte — zaciekał się inspektor. — Czyje były?

— Zapewniam pana, inspektorze — wtrącił sir Rowland — że te nie należały do rzadkich i były warte najwyżej parę funtów.

Drzwi do hallu otworzyły się i wszedł konstabl, niosąc cienką książeczkę i parę rękawiczek.

— Tak, Jones? Co to takiego? — spytał go inspektor.

— Zbadałem samochód, szefie. Na fotelu kierowcy leżały tylko te rękawiczki, ale w bocznej kieszeni znalazłem dowód rejestracyjny.

Kiedy wręczał książeczkę inspektorowi, Klarysa wymieniła uśmiech z Jeremym. Oboje zauważyli silny walijski akcent konstabla.

Inspektor zajrzał do środka.

— Oliver Costello, Morgan Mansion dwadzieścia siedem, Londyn SW3 — odczytał głośno, po czym spytał szorstko Klarysę: — Czy był tu dziś człowiek o takim nazwisku?

Rozdział XI

Pytanie inspektora sprawiło, że czwórka przyjaciół zaczęła wymieniać spłoszone spojrzenia. Sir Rowland i Klarysa robili wrażenie, jakby chcieli podjąć próbę odpowiedzi, ale pani domu zdecydowała się pierwsza.

— Owszem, był, około... Zaraz, niech pomyślę... tak, około wpół do siódmej.

— Czy to państwa przyjaciel?

— Nie, nie nazwałabym go przyjacielem. Spotkaliśmy się zaledwie kilka razy. — Specjalnie przybrała zakłopotaną minę i dodała z wahaniem: — To trochę dziwne, naprawdę... — Tu rzuciła sir Rowlandowi błagalne spojrzenie, jakby przekazując mu piłkę.

Stary dżentelmen natychmiast spełnił ową niemą prośbę.

— Może lepiej ja sam wyjaśnię sytuację.

— Bardzo pana proszę — zgodził się inspektor.

— No cóż... Rzeczą dotyczy pierwszej żony pana Hailsham–Brown. Rozwiódł się z nią ponad rok temu, ona zaś niedawno poślubiła pana Olivera Costello.

— Rozumiem. I pan Costello przyjechał tu dzisiaj. Dlaczego? — Inspektor zwrócił się do Klarysy. — Czy był umówiony?

— Och, nie. Prawdę rzekłszy, kiedy Miranda rozwiodła się z moim mężem, zabrała z sobą kilka rzeczy, które do niej nie należały. Oliver Costello przypadkiem bawił w tej okolicy i wpadł do nas, żeby je zwrócić.

— A co to za rzeczy?

Na to pytanie Klarysa miała gotową odpowiedź.

— Nic specjalnie ważnego — odparła z uśmiechem. Ze stolika przy sofie wzięła małą srebrną papierośnicę i podała ją inspektorowi. — Oto jedna z nich. Należała do matki mego męża, więc ma dla niego wartość sentymentalną.

Inspektor popatrzył na Klarysę z namysłem, zanim zadał następne pytanie.

— Jak długo pan Costello tu pozostał?

— Och, bardzo krótko, może z dziesięć minut — powiedziała, odkładając papierośnicę. — Mówił, że się śpieszy.

— I rozmowa przebiegała w przyjacielskim nastroju?

— O tak, uznałam, że to miło z jego strony.

— A czy wspominał, dokąd zamierza się udać?

— Nie. Wyszedł tymi drzwiami. — Wskazała na drzwi do ogrodu. — Była tu wówczas panna Peake, nasza ogrodniczka i ofiarowała się, że wskaże mu drogę.

— Ogrodniczka... Czy mieszka tu na stałe?

— Tak, w domku na terenie posiadłości.

— Chyba powinienem zamienić z nią słówko. Jones, przyprowadź tu tę kobietę.

— Jest połączenie telefoniczne, może po nią zadzwonię? — zaproponowała Klarysa.

— Jeśli pani taka uprzejma.

— Nie ma o czym mówić.

Podeszła do telefonu, a inspektor nakazał konstablowi gestem, by ten pozostał na miejscu.

— Chyba jeszcze nie śpi — mówiła Klarysa, przyciskając guzik w aparacie. Posłała przy tym inspektorowi zniewalający uśmiech, co tylko wprawilo go w zakłopotanie.

Jeremy uśmiechnął się do siebie i sięgnął po następną kanapkę.

— Halo? Panna Peake? Tu Klarysa Hailsham–Brown. Czy zechciałaby pani przyjść do nas na chwilę? Wydarzyło się coś ważnego i... Tak, oczywiście, że tak. Dziękuję.

Klarysa odłożyła słuchawkę i zwróciła się do inspektora.

— Panna Peake właśnie myśla głowę, ale ubierze się i zaraz tu przyjdzie.

— Dziękuję. Może mimo wszystko ten Costello powiedział jej, dokąd idzie.

— Tak, to możliwe.

— Bo wciąż zadaję sobie pytanie — inspektor nie mówił teraz do nikogo konkretnego — dlaczego ten samochód wciąż tam stoi i gdzie jest jego właściciel?

Klarysa bezwiednie zerknęła na regał. Potem stanęła przy oknie w oczekiwaniu na pannę Peake. Jeremy, który zauważył to spojrzenie, siedział, wygodnie oparty, z niewinną miną. Tymczasem inspektor rozwijał swą myśl:

— Najwyraźniej to panna Peake widziała go ostatnia. Wyszedł, powiada pani, przez te drzwi... Czy zamknął je za sobą?

— Nie — odparła Klarysa, stojąc do niego tyłem.

— Aha.

Jakaś nutka w jego głosie kazała jej się odwrócić.

— To znaczy... tak mi się wydaje — dodała z wahaniem.

— Czyli mógł wrócić tą samą drogą — zauważył inspektor. Wziął głęboki oddech i oświadczył z mocą: — Za pani pozwoleniem, chciałbym jednak przeszukać dom.

— Oczywiście, bardzo proszę — odparła z życzliwym uśmiechem. — No cóż, ten pokój już pan widział. Nikt tu nie mógł się ukryć. — Przytrzymała na chwilę zasłony, jakby chciała wpuścić pannę Peake. — Proszę spojrzeć! Tam jest biblioteka. Chce pan wejść? — zapytała, otwierając drzwi.

— Dziękuję pani. Jones, idziemy!

Kiedy obaj znaleźli się w bibliotece, inspektor dodał:

— Sprawdź no, dokąd prowadzą te drugie drzwi!

— Tak jest, panie inspektorze.

Gdy tylko zniknęli z oczu, sir Rowland podszedł spieszenie do ruchomej ścianki.

— Co jest z drugiej strony?

— Regały.

Pokiwał głową i skierował się do sofy. Tymczasem zza ściany dobiegł głos konstabla:

— To drzwi do hallu, panie inspektorze. Obaj policjanci wrócili niebawem do salonu.

— Dobra! — rzucił inspektor.

Zerknął na sir Rowlanda i wyraźnie zauważył, iż ten zmienił miejsce.

— Teraz przeszukamy resztę domu — rzekł, kierując się w stronę hallu.

— Pójdę z panami — zaproponowała Klarysa — na wypadek, gdyby moja pasierbica się obudziła. Dziecko może się przestraszyć, chociaż raczej nie przypuszczam. Zadziwiające, jak głęboko potrafią spać dzieci! Czasem trzeba dobrze nimi potrząsnąć, żeby je obudzić. Ma pan dzieci, inspektorze?

— Chłopca i dziewczynkę — odpowiedział lakonicznie, wchodząc na schody.

— Czyż to nie urocze? — Klarysa odwróciła się do konstabla i zachęciła go gestem, by ją wyprzedził. — Proszę przodem, panie Jones.

Ledwie wyszli z pokoju, trzej panowie wymienili spojrzenia. Hugo wytarł ręce, Jeremy osuszył krople potu na czole.

— I co teraz? — zapytał, biorąc z talerza następną kanapkę.

— Nie podoba mi się to wszystko — burknął sir Rowland. — Brniemy coraz głębiej.

— Gdyby mnie kto pytał — rzekł Hugo — to jest tylko jedno do zrobienia. Wyłożyć kawę na ławę i to zaraz, bo potem będzie za późno.

— Do diabła, nie możemy! — wykrzyknął Jeremy. — To byłaby nieuczciwość wobec Klarysy.

— Ale inaczej wciągniemy ją w jeszcze większe kłopoty. Jak mamy radę usunąć stąd ciało? Policja zarekwiruje samochód...

— Weźmiemy mój — zaproponował Jeremy.

— Nie, mnie się to nie podoba. Absolutnie. Do licha, jestem przecież tutejszym sędzią pokoju, muszę dbać o reputację. Co ty na to, Roly? Masz tak dobrze poukładane w głowie...

Sir Rowland miał bardzo ponurą minę.

— Owszem, mnie też się to nie podoba — przyznał. — Ale osobiście jestem skazany na przystąpienie do tego przedsięwzięcia.

— Nie rozumiem cię, mój drogi — przeraził się Hugo.

— Musicie uwierzyć mi na słowo. Wdepnęliśmy w niezłe bagno, wszyscy, jak tu jesteśmy. Ale jeśli będziemy trzymać się razem, to przy odrobinie szczęścia mamy szansę wybrnąć.

Jeremy chciał coś powiedzieć, lecz sir Rowland powstrzymał go gestem i ciągnął:

— Jak policja przekona się, że Costella nie ma w domu, to sobie pójdzie i zacznie go szukać gdzie indziej. Ostatecznie jest mnóstwo powodów, dla których mógł zostawić tu samochód i pójść dalej pieszo. Hugo i ja jesteśmy szanowanymi obywatelami, a Henry Hailsham-Brown zajmuje wysokie stanowisko w Ministerstwie Spraw Zagranicznych...

— Tak, tak, a ty masz za sobą nieskazitelną i wręcz wyjątkową karierę — zgodził się Hugo. — Dobrze więc, skoro tak uważasz, będziemy nadrabiać tupetem.

Jeremy wstał i wskazał głową wnękę.

— A nie moglibyśmy zrobić czegoś już teraz?

— Nie ma czasu — zauważył sucho sir Rowland. — Wróć tu lada chwila, a jemu tam jest bezpieczniej.

Jeremy niechętnie pokiwał głową.

— Muszę przyznać, że Klarysa jest niezrównana. Nawet włoszek jej nie drgnął, a ten cały inspektor je jej z ręki.

Nagle zabrzączał dzwonek.

— To pewnie panna Peake — domyślił się sir Rowland. — Otwórz jej, Warrender, dobrze?

Kiedy tylko Jeremy wyszedł, Hugo kiwnął na sir Rowlanda.

— O co tu chodzi, Roly? — zaszeptał gorączkowo. — Co ci powiedziała Klarysa?

Sir Rowland zaczął wyjaśniać, ale zza drzwi dobiegały już głosy Jeremy'ego i panny Peake, więc mruknął tylko:

— Nie teraz.

— Proszę, niech pani wejdzie — zapraszał Warrender ogrodniczkę.

Kiedy po chwili oboje stanęli w progu, okazało się, że kobieta wciąż miała głowę okręconą rącznikiem. Musiała ubierać się w wielkim pośpiechu.

— Co się stało? — pytała. — Pani Hailsham–Brown była taka tajemnicza...

Sir Rowland powitał ją z wielką kurtuazją.

— Ogromnie mi przykro, że ściągnęliśmy panią w taki sposób. Zechce pani spocząć? — zapraszał, wskazując jej krzesło przy stole.

Hugo odsunął je uprzejmie, ona zaś równie uprzejmie mu podziękowała. Potem sam zajął miejsce w wygodniejszym fotelu.

— Chodzi o to, że odwiedziła nas policja i... — zaczął wyjaśniać sir Rowland.

— Policja? — zdziwiła się panna Peake. — Czy było jakieś włamanie?

— Nie, nie włamanie, ale...

Zawiesił głos, gdyż właśnie wróciła Klarysa z obydwojma policjantami. Zajął pozycję za sofą, na której usadowił się Jeremy.

— Inspektorze, oto panna Peake — przedstawiła przybyłą Klarysa.

Inspektor skłonił się sztywno.

— Dobry wieczór, inspektorze — pozdrowiła go ogrodniczka. — Właśnie pytałam sir Rowlanda, co się tu wydarzyło, jakaś kradzież czy co?

Inspektor przyjrzał się jej uważnie i dopiero po chwili zdecydował się przemówić:

— Otrzymaliśmy dość dziwny telefon. I uważamy, że pani może nas oświecić.

Rozdział XII

Oświadczenie inspektora zostało przyjęte wybuchem serdecznego śmiechu.

— No coś podobnego! Jakaś tajemnica, tak? Zaczynam się dobrze bawić!

Inspektor zmarszczył brwi.

— Sprawa dotyczy pana Costello. Pana Olivera Costello, zamieszkałego przy 27 Morgan Mansion, Londyn SW3. To chyba gdzieś w Chelsea.

— Nigdy o nim nie słyszałam — brzmiała zdecydowana odpowiedź.

— Był tu dzisiaj z wizytą u pani Hailsham–Brown. Podobno pokazywała mu pani drogę przez ogród.

Panna Peake klepnęła się w udo.

— A, ten! Pani Hailsham–Brown rzeczywiście wspomniała takie nazwisko. — Spojrzała na inspektora z nieco większym zainteresowaniem. — Co chciałby pan wiedzieć?

— Chciałbym wiedzieć — mówił wolno i dobitnie inspektor — co dokładnie się wydarzyło i kiedy go pani widziała po raz ostatni.

Panna Peake zastanawiała się przez chwilę.

— Zaraz, zaraz. Wyszliśmy tymi drzwiami. Chciałam mu pokazać skrót do autobusu, ale powiedział, że woli jechać swoim samochodem. Podobno zostawił go przy stajni.

Rozpromieniła się jakby w oczekiwaniu na pochwałę za tak zwięzłą relację, ale inspektor rzekł z namysłem:

— Czy to nie dziwne miejsce na parkowanie?

— Właśnie to samo sobie pomyślałam — ucieszyła się panna Peake i klepnęła przedstawiciela władzy w plecy. Zaskoczyła go ta poufałość, lecz słuchał dalej w milczeniu. — Powinien podjechać pod główne wejście, prawda? Ale ludzie są czasem tacy dziwni. Nigdy nie wiadomo, z czym wyskoczą. I zaniósła się śmiechem.

— A co się stało później? — nie dawał za wygraną inspektor.

Panna Peake wzruszyła ramionami.

— Po prostu poszedł do samochodu i pewnie odjechał.

— Ale pani tego nie widziała?

— Nie... Układałam narzędzia.

— Więc to wtedy widziała go pani po raz ostatni, tak?

— Tak, a bo co?

— Ponieważ samochód nadal tam stoi. A o siódmej czterdzieści dziewięć — ciągnął wolno i z naciskiem — na posterunku zadzwonił telefon i ktoś nas poinformował, że w Coplestone Court zamordowano jakiegoś mężczyznę.

— Zamordowano? — powtórzyła panna Peake w osłupieniu. — Tutaj? To śmieszne!

— Zdaje się, że wszyscy tu tak myślą — zauważył sucho inspektor, zerkając na sir Rowlanda.

— Oczywiście! Wiem, że różni maniacy kręcą się po okolicy, napadają na kobiety i tak dalej, ale pan wspominał o mężczyźnie...

— Nie słyszała pani innego samochodu? — przerwał jej inspektor.

— Tylko pana Hailsham–Browna.

— Tak? — Inspektor uniosł brwi, patrząc na Klarysę. — Podobno miał wrócić bardzo późno?

Ta pośpieszyła z wyjaśnieniem:

— Owszem, mąż wrócił, ale zaraz musiał znowu wyjechać.

— Doprawdy? — wycedził inspektor z wystudiowaną uprzejmością. — I kiedyż to wrócił?

— Niech pomyślę — zawahała się Klarysa. — To musiało być...

— To było kwadrans po zakończeniu mojej dniówki — przerwała panna Peake. — Często ją przeciągam, inspektorze, nigdy nie trzymam się sztywno godzin. Zawsze powtarzam, że pracę trzeba lubić. — Tu rąbnęła pięścią w stół. — Tak, kwadrans po siódmej.

— Czyli zaraz po wyjściu pana Costello — zauważył inspektor. Przeszedł na środek pokoju i niemal niedostrzegalnie zmienił ton. — Prawdopodobnie się rozminęli.

— Chce pan powiedzieć — rzekła domyślnie panna Peake — że Costello mógł zawrócić, żeby spotkać się z panem domu.

— Oliver Costello z całą pewnością tu nie wrócił — oświadczyła ostro Klarysa.

— Nie może pani być taka pewna — zaprotestowała ogrodniczka. — Mógł wejść przez szklane drzwi bez pani wiedzy... — Urwała na chwilę, po czym wykrzyknęła: — A niech mnie! Chyba nie

sądzi pani, że Costello zamordował pana Hailsham–Brownna?

— Oczywiście, że nie — odparła ze złością Klarysa.

— A dokąd małżonek pojechał? — chciał wiedzieć inspektor.

— Nie wiem.

— Czy nie ma zwyczaju mówić pani, dokąd się udaje?

— Nigdy nie zadaję mu pytań. Uważam, że mężczyźni nie lubią, kiedy żony nękają ich ciągłymi pytaniami.

Panna Peake wydała zduszony pisk.

— Ależ jestem głupia! Przecież, jeśli samochód faceta wciąż tu jest, to pewnie właśnie jego zamordowano!

I znów ryknęła śmiechem. Sir Rowland miał już dość.

— Nie mamy powodu sądzić, że w ogóle popełniono morderstwo, panno Peake — upomniał ją z godnością. — Inspektor sam uważa, że ktoś zrobił głupi kawał.

Ogrodniczka najwyraźniej nie podzielała tej opinii.

— A samochód? To mimo wszystko bardzo podejrzane, że wciąż tam stoi. — I podchodząc do inspektora, spytała: — Czy rozejrzał się pan za ciałem?

— Dom został już przeszukany — poinformował ją sir Rowland, zanim oficer zdążył się odezwać.

Inspektor, którego panna Peake poklepywała właśnie po plecach, zrewanżował mu się ostrym spojrzeniem. Ogrodniczka ciągnęła swoje wywody:

— Jestem pewna, że ci Elginowie maczali w tym palce... Lokaj i ta jego żona, która uważa się za kucharkę. Podejrzywałam ich od dłuższego czasu, a teraz, kiedy tu szłam, widziałam światło w ich sypialni. Już to samo budzi wątpliwości, przecież mają dziś wolny wieczór, zwykle nie wracają przed jedenastą. — Uczepiła się ramienia inspektora. — Przeszukał pan ich mieszkanie?

Inspektor otworzył usta, ale nie dała mu dojść do słowa. Raz jeszcze klepnęła go w plecy.

— Przypuśćmy, że pan Costello rozpoznał w Elginie człowieka o kryminalnej przeszłości. Być może chciał tu wrócić i ostrzec panią Hailsham–Brown, a wtedy tamten zaatakował. — Powiodła po pokoju triumfującym spojrzeniem i bardzo z siebie zadowolona ciągnęła: — Oczywiście Elgin musiał szybko ukryć gdzieś ciało, żeby później po cichu się go pozbyć. Ciekawe, gdzie mógł je schować? Na przykład za zasłoną albo...

Klarysa przerwała jej ze złością:

— Och, doprawdy, panno Peake! Za zasłoną nikogo nie ma i jestem pewna, że Elgin nikogo by nie zamordował. To śmieszne!

— Jest pani taka łatwowierna, pani Hailsham–Brown! Kiedy będzie pani w moim wieku, przekona się pani, że ludzie często nie są tacy, jakimi się wydają! — Ogrodniczka zwróciła się teraz do inspektora, po raz kolejny nie dopuszczając go do głosu: — No więc, gdzie człowiek pokroju Elgina mógłby ukryć zwłoki? Między tym pokojem a biblioteką jest pomieszczenie kredensowe. Zaglądał pan tam?

Sir Rowland zainterweniował pośpiesznie:

— Panno Peake, inspektor przeszukał dokładnie i ten pokój, i bibliotekę!

Inspektor spojrzał na niego znacząco i spytał:

— Co pani rozumie przez “pomieszczenie kredensowe”? W pokoju dało się wyczuć napięcie.

— Ach, to wspaniałe miejsce do zabawy w chowanego! Nawet by panu nie wpadło do głowy, że coś takiego istnieje, zaraz wam pokażę! — zaszczebiotała radośnie panna Peake, idąc w stronę ruchomej ścianki.

Jeremy zerwał się na nogi. W tym samym momencie Klarysa wykrzyknęła z mocą:

— Nie!

Inspektor i ogrodniczka odwrócili się ku niej.

— Tam nic nie ma — przekonywała ich Klarysa. — Wiem, bo dopiero co przechodziłam tamtędy do biblioteki i...

Głos jej zamarł. Panna Peake, wyraźnie zawiedziona, mruknęła:

— No skoro tak...

Inspektor jednak nie dawał za wygraną.

— Mimo wszystko, proszę mi pokazać. Chcę się sam przekonać.

Panna Peake podeszła do regału.

— Kiedyś były tu drzwi, takie same jak te tutaj... — Poruszyła dźwignią. — Trzeba przekręcić ten uchwyt i zaraz się otworzy. Widzi pan?

Ścianka się rozsunęła i z wnęki wypadł trup Olivera Costello. Ogrodniczka wrzasnęła.

— No proszę! — odezwał się inspektor, patrząc spode łba na Klarysę. — Pomyliła się pani. Wydaje się, że jednak popełniono tu morderstwo.

Panna Peake krzyczała coraz głośniej.

Rozdział XIII

Dziesięć minut później zrobiło się nieco ciszej, gdyż ogrodniczki nie było już w pokoju. Zresztą Hugona i Jeremy'ego także. Trup Olivera Costello nadal tkwił we wnęce, której ścianka pozostała otwarta. Klarysa leżała na sofie, obok — z kieliszkiem brandy w ręku — siedział sir Rowland, na próżno próbując ją nakłonić, by wypła choć łyk. Inspektor rozmawiał przez telefon, konstabl nadal stał na swym posterunku.

— Tak, tak — mówił inspektor. — Co?... Ucieczka z miejsca wypadku?... Gdzie?... Ach, rozumiem. Tak, przyślij ich jak najprędzej... Tak, razem z fotografem i całym majdanem. — Odłożył słuchawkę i podszedł do konstabla. — Wszystko naraz! Czasem tygodniami nic się nie dzieje, a teraz proszę: lekarz jest na miejscu wypadku, kraksa samochodowa na drodze do Londynu. To oznacza sporą zwłokę, ale musimy jakoś dać sobie radę, zanim przyjedzie ekipa. Lepiej go nie ruszajmy, póki nie zrobią zdjęcia, chociaż to i tak na nic... Nie zabito go tutaj, tylko przeniesiono, kiedy już nie żył.

— Skąd pan wie? — zainteresował się konstabl. Inspektor pokazał mu ślady na dywanie.

— Widać wyraźnie, że tędy go wleczono — rzekł, przykucając za sofą. Konstabl przyklęknął, by lepiej się przyjrzeć.

— Jak się czujesz, moja droga? — spytał sir Rowland, zerknąwszy za sofę.

— Lepiej, Roly, dziękuję. Obaj policjanci wstali.

— Właściwie możemy już zasunąć te drzwi. Nie trzeba nam więcej hysterii.

— Słusznie, szefie.

Konstabl zamknął ściankę i trup zniknął z widoku. Jednocześnie sir Rowland zwrócił się do inspektora:

— Pani Hailsham-Brown przeżyła wielki szok. Może powinna pójść do swego pokoju i położyć się do łóżka?

Odpowiedź była uprzejma, lecz pełna rezerwy:

— Z pewnością ma pan rację, ale przedtem chciałbym zadać jej kilka pytań.

— W tym stanie nie można jej przesłuchiwać — upierał się starszy pan.

— Nic mi nie jest, Roly, naprawdę — odezwała się słabo Klarysa.

W głosie sir Rowlanda pojawiły się ostrzegawcze nutki:

— Jesteś bardzo dzielna, moja droga, ale naprawdę mądrzej będzie, jeśli najpierw trochę wypoczniesz.

— Kochany wujaszek! Czasem tak go nazywam, inspektorze, chociaż jest tylko moim opiekunem, nie krewnym. Zawsze jest dla mnie taki słodki.

— Właśnie widzę — odparł sucho inspektor.

— Proszę pytać, o co tylko pan zechce — ciągnęła łaskawie Klarysa. — Chociaż nie sędzę, bym na coś się przydała. Po prostu o niczym nie wiem.

Sir Rowland westchnął, pokręcił z naganą głową i obrócił się tyłem.

— Nie będziemy pani długo męczyć — zapewnił Klarysę inspektor. Otworzył drzwi do biblioteki. — Zechce pan przyłączyć się do pozostałych panów w bibliotece? — poprosił sir Rowlanda.

— Wolę zostać tutaj, na wypadek gdyby... — zaczął starszy pan, ale inspektor mu przerwał już bardziej stanowczym tonem: — Zawołam pana w razie potrzeby, a teraz proszę...

Mierzyli się przez chwilę oczami, ale wreszcie sir Rowland uznał swą porażkę i wyszedł. Inspektor zamknął za nim drzwi i skinął na konstabla, by notował. Ten wyjął posłusznie notes i ołówek.

— A więc, skoro jest pani gotowa, zaczniemy. — Inspektor wziął ze stolika papierośnicę, otworzył ją i popatrzył na znajdujące się w niej papierosy.

— Aż nazbyt fantastyczne. — Otworzył drzwi do hallu. — Cóż, na razie to wszystko.

Klarysa wstała i ruszyła w stronę biblioteki.

— Nie tędy, jeśli łaska — zatrzymał ją inspektor.

— Ależ chciałam dołączyć do pozostałych!

— Później, proszę pani.

Bardzo niechętnie wyszła do hallu.

Rozdział XIV

Inspektor zamknął za Klarysą drzwi, po czym podszedł do konstabla, który wciąż pisał coś w notesie.

— Gdzie jest ta druga kobieta? Panna... eee... Peake?

— Kazałem jej się położyć w gościnnym pokoju. Oczywiście, kiedy minął jej atak hysterii. Co ja z nią miałem! To śmiała się, to płakała, po prostu koszmar.

— Pani Hailsham–Brown może do niej pójść. Tylko niech nie rozmawia z tamtymi panami. Nie życzę sobie uzgadniania zeznań i tak dalej. Mam nadzieję, że zamknąłeś drzwi z biblioteki do hallu?

— Tak, panie inspektorze, mam tu klucz.

— Zupełnie nie wiem, co o nich myśleć. Niby są szanowanymi obywatelami... Hailsham–Brown to dyplomata, pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, Hugo Birch jest sędzią pokoju, dwaj pozostali także należą do wyższej sfery... rozumiesz, co mam na myśli. Ale z drugiej strony dzieje się tu coś dziwnego. Żadne z nich, łącznie z panią Hailsham–Brown, nie było z nami szczere. Coś ukrywają. Ale ja dojdę prawdy, obojętne, czy wiąże się to z morderstwem, czy też nie.

Wyciągnął w górę ramiona, jakby spodziewał się, że spłynie na niego natchnienie. W końcu znów zwrócił się do konstabla:

— No, do roboty. Bierzemy wszystkich naraz.

Kiedy jednak Jones podniósł się z krzesła, inspektor zmienił zdanie.

— Nie, nie, chwileczkę. Najpierw zamienię słówko z kamerdynerem.

— Elginem?

— Tak, sprowadź go tutaj. On może coś wiedzieć.

— Oczywiście, szefie. — Konstabl wyjrzał do hallu i krzyknął: — Elgin! Pozwólcie no tu, proszę.

Gdy tylko otworzył drzwi, od razu zobaczył przyczajonego na schodach kamerdynera, który nie odrywał wzroku od drzwi. Pewnie siedział tam od dłuższego czasu, podsłuchując rozmowy policjantów. Na głos konstabla cofnął się o kilka stopni w górę, ale zawołany po raz drugi, zszedł do salonu z dość spłoszoną miną.

Konstabl przygotował się do notowania, inspektor zaś wskazał Elginowi krzesło przy brydżowym stoliku.

— A więc — zagał — wybraliście się dziś wieczorem do kina, ale zawróciliście. Dlaczego?

— Już mówiłem. Żona źle się poczuła. Inspektor przyglądał mu się bacznie.

— To wy wpuściliście do domu pana Costello, nieprawdaż?

— Tak, proszę pana.

— Dlaczego nie poinformowaliście nas, że to jego samochód stoi koło stajni?

— Bo nie wiedziałem, czyj to wóz. Pan Costello nie podjechał pod główne wejście, nie wiedziałem nawet, że w ogóle przyjechał samochodem.

— Czy nie dziwi was, że zostawił go przy stajni?

— Cóż... chyba dziwi. Ale pewnie miał swoje powody.

— Co przez to rozumiecie?

— Nic, proszę pana. Zupełnie nic.

W głosie inspektora pojawiły się ostrzejsze nutki.

— A widzieliście przedtem pana Costello?

— Nie, nigdy.

— Więc to nie z jego powodu zawróciliście z drogi?

— Mówiłem panu. Moja żona...

— Nie chcę już słyszeć niczego o waszej żonie — przerwał mu inspektor. Odszedł parę kroków dalej i kontynuował przesłuchanie: — Jak długo służycie u państwa Hailsham — Brownów?

— Sześć tygodni, proszę pana.

Inspektor obrócił się do Elgina twarzą.

— A przedtem?

— Ja... ja zrobiłem sobie przerwę — odparł skonsternowany nieco Elgin.

— Przerwę? — powtórzył podejrzliwie inspektor. — Chyba rozumiecie, że w przypadku takim jak ten wasze referencje będą szczegółowo sprawdzane?

Elgin zaczął się podnosić.

— Czy to wszystko... — zaczął, ale zaraz urwał i znów usiadł. — Ja... ja nie chcę pana

oszukiwać. To naprawdę nie chodzi o nic złego. Po prostu... oryginalny dokument się podarł, a ja nie pamiętałem dokładnie, jak to szło...

— Więc samiście sobie napisali referencje, tak?

— Nie miałem złych zamiarów. Muszę jakoś zarabiać na życie i...

Inspektor znów mu przerwał.

— W tej chwili nie interesuje mnie fałszowanie referencji. Natomiast chcę wiedzieć, co wydarzyło się tu dziś wieczorem i co wam wiadomo o panu Costello.

— Nigdy przedtem nie widziałem go na oczy — upierał się Elgin. — Ale — dodał, oglądając się na drzwi do hallu — domyślam się, po co tu przyjechał.

— Ach tak? Więc słucham.

— Szantaż. Coś na nią miał.

— Rozumiem, że macie na myśli panią Hailsham–Brown?

— Tak. Przyszedłem zapytać, czy czegoś nie potrzebuje i usłyszałem rozmowę.

— Co dokładnie usłyszeliście?

— Powiedziała: “Ależ to szantaż! Nie zamierzam mu ulegać” — zacytował Elgin wysoce dramatycznym tonem.

— Hm... — mruknął z powątpiewaniem inspektor. — Coś jeszcze?

— Nie. Umilkli na mój widok, a kiedy wyszedłem, ściszyli głosy.

— Rozumiem.

Inspektor patrzył wyczekująco na kamerdynera, spodziewając się czegoś więcej, ten jednak wstał.

— Nie będzie pan dla mnie zbyt twardy, prawda? — spytał niemal płacząco. — I tak mam dość kłopotów...

Inspektor przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, wreszcie machnął ręką.

— Dobra, możecie iść.

— Tak, proszę pana. Dziękuję panu.

Kamerdyner wycofał się do hallu. Inspektor odprowadził go wzrokiem, po czym wymienił spojrzenia z konstabłem.

— Szantaż, co? — mruknął.

— Taka miła osoba! — zmartwił się Jones.

— Cóż, nigdy nic nie wiadomo. — Inspektor zamilkł, a po chwili oświadczył: — Teraz poproszę pana Bircha.

Konstabl otworzył drzwi do biblioteki.

— Prosimy pan Bircha.

Hugo wszedł do salonu w cokolwiek buntowniczym nastroju, ale inspektor powitał go uprzejmie, wskazując mu krzesło:

— Proszę, panie Birch, zechce pan usiąść. To bardzo nieprzyjemna sprawa. Co pan ma do powiedzenia?

— Absolutnie nic — odparł Hugo, stukając futerałem do okularów o stół.

— Nic? — zdziwił się inspektor.

— A czego pan się spodziewał? Cholerny babsztyl otwiera cholerną szafę i ze środka wypada cholerny trup! Po prostu mnie zatkało. Wciąż jeszcze nie doszedłem do siebie. — Łypnął spod oka na swego rozmówcę. — Nie ma sensu mnie wypytywać, bo po prostu nic nie wiem.

— To pańskie oficjalne zeznanie, tak? — spytał inspektor, wbijając w niego nieruchome spojrzenie. — Po prostu nic pan nie wie?

— Przecież mówię. Nie zabiłem faceta, nawet go nie znałem.

— Nie znał pan — powtórzył inspektor. — No dobrze, wcale nie sugeruję, że było inaczej, a już na pewno nie przypisuję panu morderstwa. Ale nie mogę uwierzyć, że nic pan nie wie. Po pierwsze, słyszał pan chyba o nim?

— Owszem — warknął Hugo. — Słyszałem, że niezły z niego ptaszek.

— Pod jakim względem?

— Och, sam nie wiem. To taki gość, który podoba się kobietom, ale dla mężczyzn nie przedstawia żadnej wartości.

Inspektor milczał przez chwilę, po czym spytał ostrożnie:

— I nie ma pan pojęcia, po co przyszedł tu po raz drugi?

— Nie.

Oficer zrobił kilka kroków i nagle obrócił się twarzą do Hugona.

— Czy było coś między nim a panią Hailsham–Brown?

— Klarysą? — oburzył się Hugo. — Dobry Boże, nie! Miła z niej dziewczyna. Ma dużo rozsądku, nawet by nie spojrziała na takiego typu.

Inspektor znowu umilkł.

— Więc nie może pan nam w niczym pomóc? — spytał po chwili.

— Przykro mi, ale taka jest prawda — odparł Hugo, nadrabiając nieco nonszalancją.

— I naprawdę nie wiedział pan, że we wnęce jest ciało? — spróbował po raz ostatni inspektor. Hugo wyglądał na urażonego.

— Oczywiście, że nie.

— No to dziękuję panu.

— Co?

— To wszystko, dziękuję — powtórzył inspektor, podchodząc do biurka i biorąc stamtąd grubą czerwoną książkę.

Hugo zabrał swój futerał i zamierzał wyjść do biblioteki, ale konstabl zagroził mu drogę.

— Proszę tędy, panie Birch — rzekł, wskazując mu drzwi do hallu.

Inspektor zasiadł przy stoliku i zabrał się do wertowania książki.

— Kopalnia informacji z tego Bircha, co? — zagadnął ironicznie konstabl. — Nawiasem mówiąc, niezbyt to miła sytuacja dla sędziego pokoju.

Inspektor czytał głośno:

— “Delahaye, sir Rowland Edward Mark, KCB, MVO* ...”

— Co to? — zainteresował się konstabl, zaglądając szefowi przez ramię. Ach, “Who’s Who”.

— “...kszałcił się w Eton... Trinity College...” O! “Ministerstwo Spraw Zagranicznych... drugi sekretarz... Madryt... pełnomocnik...”.

— Ach! — wyrwało się konstablowi po ostatnim słowie. Inspektor rzucił mu rozpaczliwe spojrzenie.

— “...Misja specjalna Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Konstantynopolu; kluby: Boodles,

Whites...”

— Mam go wezwać? — spytał konstabl.

— Nie — odparł po namyśle inspektor. — Jest najbardziej interesujący z tego towarzystwa, więc zostawimy go na koniec. Teraz weźmiemy się do młodego Warrendera.

Rozdział XV

Konstabl posłusznie udał się do biblioteki.

— Pan Warrender, proszę!

Jeremy daremnie usiłował przybrać swobodny wyraz twarzy. Inspektor podniósł się nieco w krześle na jego powitanie, po czym wskazał mu miejsce przy stole.

— Proszę siadać — burknął i dla formalności spytał: — Nazwisko?

— Jeremy Warrender.

— Adres?

— Broad Street trzysta czterdzieści i Grosvenor Square trzydzieści cztery — odparł Jeremy, starając się, by zabrzmiało to nonszalancko. Potem zerknął na zajętego notatkami konstabla i dodał: — Adres na wsi: Hepplestone, Wiltshire.

— Wygląda, że jest pan dżentelmenem niezależnym finansowo.

— Niestety nie. Pracuję jako osobisty sekretarz sir Kennetha Thompsona, prezesa Saxon–Arabian Oil. To jego adresy.

Inspektor pokiwał głową.

— Rozumiem. Jak długo jest pan przy nim?

— Około roku. Przedtem przez cztery lata byłem asystentem pana Scotta Agiusa.

— Ach tak, to ten bogaty biznesmen z City, prawda? A Olivera Costello pan znał?

— Nie, aż do dziś nawet o nim nie słyszałem.

— I nie widział go pan, kiedy przyszedł tu wcześniej?

— Nie. Wybrałem się z tamtymi panami do klubu golfowego. Chcieliśmy zjeść tam obiad, bo służba miała wolne. Pan Birch nas zaprosił.

Inspektor kiwał wolno głową.

— Czy zaproszenie objęło także panią Hailsham–Brown? — spytał po krótkim milczeniu.

— Nie — odrzekł Jeremy, a widząc uniesione brwi inspektora, dodał pośpiesznie: — To znaczy,

mogłaby przyjść, gdyby chciała.

— Chce pan powiedzieć, że była zaproszona, ale odmówiła?

— Nie, nie. Chodzi o to, że... no wie pan, Hailsham–Brown bywa dość zmęczony po powrocie z pracy i Klarysa powiedziała, że zjedzą w domu, jak zawsze.

Inspektor zrobił zakłopotaną minę.

— Wyjaśnijmy to do końca — warknął. — Pani Hailsham–Brown uważała, że jej mąż zechce zjeść obiad w domu? Nie spodziewała się, że zaraz po powrocie znowu wyjdzie?

Jeremy zupełnie się stropił.

— Ja... prawdę rzekłszy... nie bardzo wiem — wyjąkał. — Teraz, kiedy pan zapytał, wydaje mi się, że o tym wspomniała.

Inspektor wstał i przeszedł się po pokoju.

— A więc wydaje się czymś niezrozumiałym, że wolała zostać sama w domu zamiast pójść z panami do klubu, prawda?

— No... Właściwie... — zaczął się jąkać Jeremy. Po chwili jednak nabrał pewności siebie. — Znaczy, pewnie chodziło o tę małą, o Pippę. Klarysa chyba nie lubi zostawiać jej zupełnie samej.

— Albo sama spodziewała się gościa, co? — wycedził przez zęby inspektor.

Jeremy zerwał się krzesła.

— Co za paskudne podejrzenie! I absolutnie nieprawdziwe. Jestem pewien, że niczego takiego nie planowała!

— A jednak Oliver Costello miał się tu z kimś spotkać. Dwoje służących wyszło, panna Peake była w swoim domku. Nie pozostaje nikt inny jak pani Hailsham–Brown.

— Wszystko, co mogę powiedzieć... — zaczął Jeremy i dokończył z wahaniem: — Cóż, proszę ją zapytać.

— Już pytałem.

— I co powiedziała?

— To samo co pan.

Jeremy usiadł przy stoliku.

— Więc sam pan widzi.

Inspektor przechadzał się ze wzrokiem wbitym w podłogę, jakby głęboko się nad czymś namyślał. Nagle podniósł głowę.

— A proszę mi powiedzieć, dlaczego właściwie panowie wrócili z klubu? Czy to było zgodne z pierwotnym planem?

— Tak — odparł szybko Jeremy i zaraz się poprawił: — To znaczy, nie.

— Więc jak w końcu? Jeremy odetchnął głęboko.

— Cóż... To było tak: Szliśmy wszyscy do klubu. Sir Rowland i Hugo udali się prosto do jadalni, ja przyłączyłem się nieco później, tam jest zimny bufet, wie pan. Stukałem w piłeczki aż do zmroku, a wtedy ktoś zapytał: “Jest ktoś do brydża?”. Więc zaproponowałem, żebyśmy wrócili do Hailsham-Brownów, gdzie jest znacznie przyjemniej, i tam zegrali. No i tak się stało.

— Rozumiem. Więc to był pański pomysł? Jeremy wzruszył ramionami.

— Naprawdę nie pamiętam, kto pierwszy na to wpadł. Chyba Hugo Birch... tak, chyba on.

— I wróciliście tutaj... o której? Jeremy pomyślał chwilę.

— Nie potrafię powiedzieć — mruknął. — Musiało być tuż przed ósmą, kiedy wychodziliśmy z klubu.

— A jak długo się stamtąd idzie? Pięć minut?

— Tak, coś koło tego. Pole golfowe przylega do ogrodu. Inspektor podszedł do stolika brydżowego i przyjrzał się kartom.

— I potem graliście w brydża?

— Tak.

— Czyli zostało około dwudziestu minut do mojego przyjścia — wyliczył inspektor, obchodząc wolna stolik. — To przecież stanowczo za krótko, żeby rozegrać dwa robry i rozpocząć trzeci? — Podniósł w górę notes Klarysy, tak by Jeremy widział zapis.

— Co? — zmieszał się tamten, ale zaraz znalazł odpowiedź: — Och nie, to musi być wczorajszy zapis.

Wskazując pozostałe notatki, inspektor zauważył z namysłem:

— Pisała tylko jedna osoba.

— Owszem, wszyscy jesteśmy dość leniwi, pisanie zostawiamy Klarysie.

— Czy wiedział pan o ukrytym przejściu? — spytał inspektor, podchodząc do sofy.

— Ma pan na myśli miejsce, gdzie znaleziono ciało?

— Właśnie.

— Nie, nie. Nie miałem pojęcia... Świetnie zakamuflowane, co? Nikt by nie odgadł.

Inspektor przysiadł na poręczy sofy, ale ześliznął się nieco i potracił poduszkę, odsłaniając rękawiczki. Na jego twarzy ukazał się wyraz powagi.

— Nadal pan utrzymuje — spytał cicho — że nie wiedział nic o ukrytych zwłokach, tak?

Jeremy się odwrócił.

— Po prostu mnie замуrowało, jak to się mówi. Co za krwawy melodramat! Nie wierzyłem własnym oczom!

Tymczasem inspektor układał na sofie rękawiczki. Podniósł jedną parę w górę, niczym iluzjonista, który wyciąga królika z kapelusza.

— To pańskie? — spytał.

— Nie. To znaczy, tak — przyznał, bardzo zmieszany.

— Znow zapytam: jak jest naprawdę?

— Tak, to moje.

— Czy miał je pan na sobie, wracając z klubu?

— Tak, teraz pamiętam. Było dość chłodno. Inspektor wstał i podszedł do niego bliżej.

— A jednak pan się myli. — I wskazując inicjały, dodał: — Należą do pana Hailsham–Brownna.

Patrząc mu zimno w oczy, Jeremy odparował:

— Ach, to zabawne. Mam identyczną parę.

Inspektor wrócił do sofy i wyciągnął następne rękawiczki.

— Więc może te są pańskie?

— Nie przyłapie mnie pan po raz drugi! W końcu wszystkie wyglądają jednakowo!

Inspektor wyciągnął trzecią parę.

— Trzy pary! — mruknął. — I wszystkie z inicjałami Hailsham–Brownna! Dziwne.

— Cóż, w końcu to jego dom. Czemu nie miałby tu trzymać swoich trzech par?

— Interesuje mnie tylko jedno: dlaczego pan uznał jedno z nich za własne? Przecież widzę, że swoje ma pan w kieszeni!

Warrender złapał się za prawą kieszeń.

— Nie, nie w tej. W lewej.

— No rzeczywiście — wykrzyknął młody człowiek, wyciągając rękawiczki.

— Nie wyglądają tak jak tamte, prawda?

— Bo to rękawice golfowe — wyjaśnił Jeremy z uśmiechem.

— Dziękuję, panie Warrender — rzekł w tym momencie inspektor, wyklepując poduszkę. — To na razie wszystko.

Jeremy podniósł się z niepewną miną.

— Proszę posłuchać... Chyba pan nie myśli...

— Nie myślę, że co? — wpadł mu w słowo inspektor.

— Nie, nic... — odparł enigmatycznie tamten, kierując się w stronę biblioteki, skąd zaraz zawrócił go konstabl.

Jeremy wskazał pytająco na hali, a uzyskawszy nieme potwierdzenie, wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Inspektor zostawił na sofie rękawiczki i ponownie zabrał się do studiowania "Who's Who".

— No proszę — mruknął i przeczytał na głos: "Thompson, sir Kenneth. Prezes Saxon— Arabian Oil Company, Gulf Petroleum Company". Hm... Daje do myślenia. "Rozrywki: filatelistyka, golf, wędkarstwo. Adres: Broad Street trzysta czterdzieści, Grosvenor Square trzydzieści cztery".

Kiedy inspektor czytał, Jones podszedł do stolika przy sofie, żeby nad popielniczką zatemperować ołówek. Zbierając z podłogi kilka strużynek, zauważył kartę, którą zostawiła tam Pippa. Natychmiast zaniósł ją szefowi.

— Co tam masz? — zaciekał się inspektor.

— To tylko karta, panie inspektorze. Leżała pod sofą.

— As pik... Bardzo ciekawe. Czekał no... — Odwrócił kartę na drugą stronę. — Czerwona... Z tej samej talii. — Wziął ze stolika talię kart i rozsypał je po blacie.

Konstabl pomagał mu sortować.

— Nie, nie ma asa pik! To bardzo znamienne, nie sądzisz, Jones? — zauważył jego szef, chowając kartę do kieszeni. — Próbowali grać w brydża bez asa pik!

— Rzeczywiście, bardzo znamienne — przyznał konstabl, składając karty.

Inspektor pozbierał z sofy rękawiczki.

— No, nadszedł czas na sir Rowlanda Delahaye'a — oświadczył, układając na stoliku każdą parę oddzielnie.

Rozdział XVI

Konstabl otworzył drzwi do biblioteki i zawołał:

— Sir Rowland Delahaye!

Sir Rowland przystanął na chwilę w progu, ale zachęcony przez inspektora, podszedł do stolika, gdzie od razu zobaczył rozłożone rękawiczki. Zawahawszy się lekko, zajął wskazane sobie miejsce.

— Sir Rowland Delahaye, tak? — upewnił się inspektor. Uzyskawszy milczące potwierdzenie, przeszedł do następnego pytania: — Pański adres?

— Long Paddock, Littlewich Green, Lincolnshire — odparł tamten i stuknąwszy palcem “Who’s Who”, dodał: — Czyżby nie znalazł mnie pan tutaj?

Inspektor postanowił pominąć to pytanie milczeniem.

— Chciałbym teraz usłyszeć relację z dzisiejszego wieczoru. Od chwili, kiedy opuścił pan ten dom około siódmej godziny.

Sir Rowland najwyraźniej przemyślał to i owo.

— Padało cały dzień — zaczął gładko — ale nagle się wypogodziło. Już wcześniej postanowiliśmy pójść na obiad do klubu golfowego, gdyż służba miała wolny wieczór. I tak się stało. — Zerknął na konstabla, jakby chciał się upewnić, że policjant za nim nadaża. — Kończyliśmy już obiad, kiedy zadzwoniła pani Hailsham-Brown. Powiedziała, że jej mąż musiał niespodziewanie wyjść, więc może wrócilibyśmy i zagrali w brydża. No i wróciliśmy. Graliśmy około dwudziestu minut, a potem przyszli panowie. Resztę... pan zna.

Inspektor się zamyślił.

— Pan Warrender przedstawił to nieco inaczej — oświadczył.

— Naprawdę? A jak?

— Powiedział, że propozycja powrotu wyszła od jednego z panów. Wydawało mu się, że od pana Bircha.

— Ach! Bo widzi pan, Warrender zjawił się w jadalni dość późno. Nie wiedział o telefonie.

Przez chwilę obaj mierzyli się wzrokiem, jakby jeden drugiego chciał przewiercić na wylot. Potem znów zabrał głos sir Rowland:

— Pewnie lepiej ode mnie pan wie, jak rzadko się zdarza, że dwoje ludzi tak samo opisuje jakies

wydarzenie. Powiem więcej: gdyby cała nasza trójka mówiła dokładnie to samo, uznalibyśmy to za podejrzane. Bardzo podejrzane.

Inspektor wolał powstrzymać się od komentarza. Przyciągnął swoje krzesło bliżej przesłuchiwanego i usiadł.

— Jeśli wolno, chciałbym przedyskutować z panem ten przypadek.

— To miło z pańskiej strony.

Inspektor przez kilka sekund wpatrywał się w blat stołu, po czym zaczął:

— Oliver Costello przybył do tego domu w pewnej szczególnej sprawie. Czy zgadza się pan ze mną?

— Z tego, co wiem, przyjechał, żeby zwrócić Henry'emu Hailsham–Brownowi pewne rzeczy, które jego poprzednia żona Miranda zabrała przez pomyłkę.

— To mógł być pretekst, chociaż nie mam całkowitej pewności. Ale jestem przekonany, że nie był to prawdziwy powód.

Sir Rowland wzruszył ramionami.

— Może ma pan rację. Trudno powiedzieć.

— Być może chciał się tu z kimś spotkać — dążył dalej inspektor. — Na przykład z panem albo z panem Warrenderem, albo z panem Birchem.

— Gdyby chciał się widzieć z Birchem, który mieszka w tej okolicy, pojechałby do jego domu. Nie musiałby go tu szukać.

— Owszem, pewnie tak by postąpił. Wobec tego zostają cztery osoby: pan, Warrender i państwo Hailsham–Brown. — Inspektor obrzucił swego rozmówcę badawczym spojrzeniem. — Czy pan dobrze znał Olivera Costello?

— Prawie wcale. Spotkałem go ze dwa razy, to wszystko.

— Gdzie go pan spotkał?

Sir Rowland rozważał przez chwilę odpowiedź.

— Dwa razy u Hailsham–Brownów w Londynie i chyba raz w jakiejś restauracji.

— Ale nie miał pan powodu, by go zamordować?

— Czy to oskarżenie, inspektorze? — spytał z uśmiechem sir Rowland.

Tamten pokręcił przecząco głową.

— Nie, sir Rowlandzie. Nazwałbym to eliminacją. Nie sądzę, by miał pan motyw do pozbycia się Costella. Zostają więc trzy osoby.

— To brzmi jak wariant “Dziesięciu Murzynków” — uśmiechnął się znowu sir Rowland.

Tym razem inspektor odwzajemnił uśmiech.

— Weźmy jako następnego pana Warrendera. Jak dobrze pan go zna?

— Poznałem go tutaj dwa dni temu. Wydał mi się sympatyczny, dobrze wychowany i wykształcony. Jest przyjacielem Klarysy. Nic o nim nie wiem, ale na mordercę nie wygląda.

— Przynajmniej tyle — zauważył inspektor. — To przywodzi mi na myśl następne pytanie...

Sir Rowland je przewidział.

— Jak dobrze znam Henry’ego i Klarysę Hailsham–Brownów, prawda? Tak się składa, że Henry’ego znam bardzo dobrze, przyjaźnimy się od dawna. A co do Klarysy, to wiem o niej wszystko. To moja podopieczna i jest mi bardzo droga.

— Tak, tak. To nam wyjaśnia pewne sprawy.

— Doprawdy?

— Dlaczego wszyscy trzej zmieniliście swoje plany na dzisiejszy wieczór? — zaatakował zniechęcony inspektor. — Dlaczego postanowiliście wrócić i udawać, że gracie w brydża?

— Udawać?

Inspektor wyjął z kieszeni kartę.

— Tę kartę znaleźliśmy w drugim końcu pokoju, pod sofą. Trudno mi uwierzyć, że można rozegrać dwa robry i zacząć trzeci bez asa pikowego.

Sir Rowland wziął od niego kartę i obrócił ją na drugą stronę.

— No tak — przyznał, oddając ją z powrotem. — Rzeczywiście dość trudno w to uwierzyć.

Inspektor wznosił oczy w górę.

— Myślę, że te trzy pary rękawiczek pana Hailsham–Browna także wymagają wyjaśnienia.

Sir Rowland zastanawiał się chwilę, zanim udzielił odpowiedzi.

— Obawiam się, że nie uzyska pan już ode mnie żadnych informacji.

— Wiem. Robi pan, co w jego mocy, żeby uchronić pewną panią. Ale nic z tego nie będzie. Prawda i tak wyjdzie na jaw.

— Bardzo jestem ciekaw.

Inspektor podszedł do ruchomej ścianki.

— Pani Hailsham–Brown wiedziała, że ciało Costella jest we wnęce. Nie mam pojęcia, czy sama je tam zaciągnęła, czy też pan jej w tym pomógł, ale w każdym razie wiedziała. Sugeruję, iż Oliver Costello przyszedł się z nią spotkać i pogroźkami wydostać pieniądze...

— Pogroźkami? Czym miałby jej grozić?

— To się jeszcze okaże. Pani Hailsham–Brown jest przystojną młodą kobietą, Costello zaś miał opinię donżuana. No, ale ona niedawno wyszła za męża i...

— Dosyć! — przerwał mu stanowczo sir Rowland. — Muszę panu uświadomić pewne fakty. To, co powiem, jest łatwe do sprawdzenia. Pierwsze małżeństwo Henry’ego Hailsham–Brownna okazało się nieszczęśliwe. Miranda była piękna, ale niezrównoważona i bardzo nerwowa. Jej zdrowie i skłonności doszły do takiego stanu, że dziecko trzeba było umieścić w domu opieki. Jak się zdaje, Miranda uzależniła się od narkotyków, ale dotąd nie wiadomo, gdzie się w nie zaopatrywała. Jest wysoce prawdopodobne, że jej dostawcą był ten Costello. Wkrótce opętał ją do tego stopnia, że z nim uciekła. — Zerknął na inspektora i po przerwie dokończył: — Henry Hailsham–Brown, który ma dość staroświeckie poglądy, zgodził się na rozwód. Teraz znalazł szczęście w małżeństwie z Klarysą. Zapewniam pana, że w jej życiu nie ma żadnych ponurych sekretów. Costello nie mógł jej niczym grozić, przysięgam.

Inspektor się nie odezwał; znów popadł w zadumę.

Sir Rowland wstał, zasunął krzesło i ruszył w stronę sofy, ale nagle obrócił się w pół kroku.

— Czy aby nie jest pan na fałszywym tropie, inspektorze? Skąd to przekonanie, że Costellowi chodziło o osobę, a nie o miejsce?

— Co pan ma na myśli?

— Mówiąc o zmarłym panu Sellonie, wspomniał pan, że interesowała się nim Brygada Antynarkotykowa. Może tu kryje się jakieś powiązanie? Narkotyki, Sellon, dom Sellona?

Umilkł wyczekująco, ale widząc brak reakcji, ciągnął:

— Costello był tu już dawniej. Z tego, co wiem, chciał rzucić okiem na antyki. Przypuśćmy, że chciał czegoś, co znajduje się w tym domu. Na przykład w tamtym biurku.

Inspektor zerknął na mebel, sir Rowland zaś rozwijał swą myśl:

— Wydarzył się dziwny incydent. Przyszedł tu jakiś mężczyzna i proponował kupno tego biurka za

niebotyczną cenę. Przypuśćmy, że to samo biurko chciał obejrzeć... przepraszam, przeszukać Oliver Costello. Przypuśćmy, że ktoś go śledził. I ten sam ktoś zabił go tutaj, właśnie przy biurku.

Na inspektorze nie zrobiło to wrażenia.

— To tylko przypuszczenia — zaczął, ale sir Rowland nie dał mu dokończyć.

— To bardzo sensowna hipoteza.

— Według tej hipotezy ów ktoś wepchnął następnie ciało do wnęki?

— Właśnie.

— Więc musiał o niej wiedzieć.

— Ach, tak — zainteresował się inspektor. — Któż to taki?

— Niejaki pan Jones.

— Kto? — zdziwił się przełożony konstabla.

— Pan Jones. To nie jest jego prawdziwe nazwisko, ale tak go musimy nazywać. Wszystko cichsza. Kanapki mieli jeść podczas rozmowy, ja zaś zamierzałam zjeść w szkolnym pokoju krem...

Inspektor był wyraźnie zbity z tropu.

— Krem... tak, rozumiem — mruknął, ale po minie widać było, że nie rozumie ani w ząb.

— Postawiłam talerz na stoliku i zaczęłam porządkować pokój. I kiedy odkładałam na półkę książkę... omal nie zemdlałam.

— Potknęła się pani o ciało?

— Tak, leżało tutaj, za sofą. Sprawdziłam, czy ów człowiek nie żyje i rzeczywiście nie żył. To był Oliver Costello. Zupełnie nie wiedziałam, co robić. Ostatecznie zadzwoniłam do klubu golfowego i poprosiłam panów, by natychmiast wracali.

Inspektor pochylił się nad sofą i spytał zimno:

— Nie przyszło pani do głowy, żeby zadzwonić raczej na policję?

— Owszem, ale... ale... — Znow się uśmiechnęła. — No, po prostu tego nie zrobiłam.

— Nie zrobiła pani... — mruknął do siebie inspektor. Odszedł kilka kroków, spojrzał na konstabla i desperackim gestem podniósł ręce. Potem znow obrócił się do Klarysy. — Dlaczego nie zadzwoniła pani na policję?

Klarysa była przygotowana na to pytanie.

— Ponieważ sądziłam, że mąż wolałby tego uniknąć. Nie wiem, jak wiele zna pan osób w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, ale oni są strasznie skromni. Lubią, żeby wszystko odbywało się po cichu, bez rozgłosu, no a sam pan przyzna, że morderstwo raczej rzuca się w oczy.

— No jasne.

— Tak się cieszę, że pan rozumie — ucieszyła się Klarysa. Podjęła swą opowieść, ale jej słowa brzmiały coraz mniej wiarygodnie i niebawem sama poczuła, że w ten sposób daleko nie zajdzie. — No więc był całkiem martwy, wiem, bo sprawdziłam mu puls, i nie mogliśmy mu już pomóc...

Inspektor krążył po pokoju, nie odzywając się ani słowem. Klarysa wodziła za nim wzrokiem, brnąc dalej:

— Chodzi mi o to, że równie dobrze mógłby tak leżeć w Marsden Wood...

— W Marsden Wood? — rzucił ostro inspektor. — Co ma do tego Marsden Wood?

— Tam właśnie chciałam go wywieźć.

Inspektor przyłożył sobie dłoń do czoła i przez chwilę wpatrywał się w podłogę.

— Pani Hailsham-Brown! — rzekł z całą stanowczością. — Czy nigdy nie słyszała pani, że jeśli istnieje choćby najmniejsze podejrzenie o nieczystą grę, nie wolno ruszać zwłok?

— Oczywiście, że wiem o tym. Tak piszą we wszystkich kryminałach, ale widzi pan, to jest prawdziwe życie.

Inspektor machnął tylko ręką.

— Mam na myśli — ciągnęła — że w prawdziwym życiu jest inaczej.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

— Czy zdaje sobie pani sprawę z powagi tych słów?

— Oczywiście, zresztą mówię prawdę. No więc zadzwoniłam do klubu i oni wrócili.

— A potem namówiła ich pani, żeby ukryli ciało we wnęce.

— Nie. To się stało później. Mój pierwotny plan zakładał, że mają wywieźć ciało samochodem do Marsden Wood.

— I zgodzili się?

— Tak, zgodzili.

— Szczerze mówiąc — rzekł brutalnie inspektor — nie wierzę w ani jedno pani słowo. Nie

wierzę, by trzech odpowiedzialnych mężczyzn zgodziło się utrudniać śledztwo dla tak marnego powodu.

Klarysa wstała i odeszła parę kroków dalej.

— Wiedziałam, że pan nie uwierzy, jeśli powiem prawdę — mruknęła bardziej do siebie niż do swego rozmówcy. — Więc w co pan wierzy?

— Widzę tylko jeden powód — rzekł, obserwując ją bacznie — dla którego ci panowie zgodzili się kłamać.

— Tak? Mianowicie jaki?

— Zgodziliby się kłamać tylko wtedy, gdyby sądzili, a w gruncie rzeczy nawet wiedzieli, że to pani zabiła Costella.

Klarysa wyglądała na wstrząśniętą.

— Ależ nie miałam powodu go zabijać! Najmniejszego powodu! Och, wiedziałam, że tak pan zareaguje, i właśnie dlatego...

Urwała gwałtownie, więc inspektor ją ponaglił:

— Co “dlatego”?

Klarysa stała, zamyślona. Kiedy po paru sekundach zaczęła mówić, jej głos brzmiał bardziej zdecydowanie, jakby nagle postanowiła zrzucić cały ciężar.

— No dobrze, powiem panu.

— Tak będzie mądrzej.

— Tak, przypuszczam, że lepiej będzie wyznać całą prawdę — powiedziała, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

— Zapewniam panią, że częstowanie policji stekiem kłamstw na nic się nie przyda. Proszę o całą historię. Od początku.

— Dobrze... — Usiadła przy stoliku. — Boże, a myślałam, że jestem taka sprytna...

— Lepiej nie być za sprytną. No więc, co się wydarzyło tego wieczoru?

Rozdział XVIII

Klarysa przez parę sekund siedziała w milczeniu. Wreszcie, patrząc inspektorowi prosto w oczy, zaczęła mówić:

— Wszystko zaczęło się tak, jak powiedziałam. Pożegnałam Costella, który odszedł z panną Peake. Nie miałam pojęcia, że wrócił, a tym bardziej nie rozumiałam, z jakiego powodu. — Przez chwilę zbierała myśli, jakby przypominając sobie dalszy ciąg. — Wtedy zjawił się mój mąż, ale oświadczył, że zaraz wychodzi. Pojechał samochodem, ja zaś zamknęłam główne drzwi i sprawdziłam wszystkie zamki, bo czułam się dziwnie zdenerwowana.

— Zdenerwowana? Czym?

— Ja w ogóle jestem dość nerwowa, a wtedy uświadomiłam sobie nagle, że nigdy dotąd nie zostałam w tym domu zupełnie sama.

— Tak... Proszę dalej.

— Skarciłam się w duchu za taką głupotę. Powiedziałam do siebie: “Masz przecież telefon, prawda? Zawsze możesz zadzwonić po pomoc. Włamywacze nie pracują o tak wczesnej porze, przychodzą koło północy”. Ale wciąż mi się zdawało, że gdzieś trzasnęły drzwi, albo że słyszę jakieś kroki w sypialni. Więc postanowiłam coś z tym zrobić.

Znów umilkła i znów inspektor ją zachęcił: — Tak?

— Poszłam do kuchni, przygotowałam kanapki dla Henry’ego i pana Jonesa. Ułożyłam je na talerzu i przykryłam serwetką, żeby nie wyschły. Właśnie szłam z nimi do salonu, kiedy nagle... coś usłyszałam.

— Gdzie?

— W tym pokoju. Tym razem wiedziałam, że niczego sobie nie wyobrażam. Słyszałam odgłos wysuwanej i zasuwannej z powrotem szuflady i wtedy uświadomiłam sobie, że drzwi do ogrodu nie są zamknięte na klucz. Nigdy ich nie zamykamy. Ktoś musiał tamtędy wejść.

— Proszę dalej, pani Hailsham–Brown! Klarysa rozłożyła bezradnie ręce.

— Nie wiedziałam, co począć. Stałam przez chwilę jak skamieniała, a potem zaczęłam myśleć. A jeśli zachowuję się głupio? Może to Henry wrócił po coś albo któryś z panów? Jeśli ucieknę na górę i zadzwonię po policję, mogę wyjść na prawdziwą kretynkę. I wtedy powzięłam pewien plan.

Inspektora zaczęły denerwować te ciągłe przerwy.

— Tak?

— Podeszłam do stojaka i wyciągnęłam najgrubszą laskę. Tak uzbrojona wkroczyłam do

biblioteki. Nie zapalając światła, ruszyłam w stronę wnęki. Bardzo ostrożnie wśliznęłam się do środka. Zamierzałam uchylić drzwi i zajrzeć do salonu. Jeśli ktoś nie wie o tym przejściu, nigdy się nie domyśli, że tu są drzwi.

— To prawda — zgodził się inspektor. Klarysa zaczynała się upajać swoją rolą.

— Zwolniłam delikatnie uchwyt, ale palce mi się obsunęły, drzwi otworzyły się na oścież i uderzyły w krzesło. Mężczyzna, który stał przy biurku, nagle się wyprostował. W jego dłoni coś błysnęło, pomyślałam, że to rewolwer, i zamarłam ze strachu. Przestraszyłam się, że zaraz mnie zastrzeli, więc rąbnęłam go z całej siły laską i wtedy upadł. — Pochyliła się nad stołem i ukryła twarz w dłoniach. — Czy... czy mogę dostać odrobinę brandy?

— Tak, oczywiście. Jones!

Konstabl wstał, nalał trochę do kieliszka i podał go inspektorowi. Klarysa podniosła głowę, ale zaraz zakryła ją znowu i tylko wyciągnęła rękę. Wypiła, zakaszła i zaraz oddała kieliszek.

— Czy czuje się pani na siłach, by mówić dalej? — spytał ze współczuciem inspektor.

— Tak. Jest pan bardzo uprzejmy. — Wzięła głęboki oddech i podjęła opowieść. — Ten człowiek wciąż leżał bez ruchu. Zapaliłam światło i zobaczyłam, że to Oliver Costello. To było straszne. Nie mogłam tego zrozumieć. — Wskazała biurko. — Nie mogłam zrozumieć, co on tu robił, po co szperał w biurku. Zupełny koszmar! Byłam tak przerażona, że zadzwoniłam do klubu golfowego. Chciałam mieć przy sobie mego opiekuna, ale wrócili wszyscy. Ubłagałam ich, by mi pomogli i zabrali gdzieś to ciało.

Inspektor wpatrywał się w nią bacznie.

— Ale dlaczego?

— Bo jestem tchórzem! — wykrzyknęła, odwracając twarz. — Nędznym tchórzem! Przestraszyłam się rozgłosu, śledztwa... I jak fatalnie wpłynęłoby to na karierę mego męża! — Znow patrzyła mu w twarz. — Gdyby to naprawdę był złodziej, może jakoś bym sobie poradziła, ale ktoś znajomy, w dodatku mąż pierwszej żony Henry'ego... Och, czułam się absolutnie bezradna!

— Może dlatego, że ów człowiek dopiero co próbował panią szantażować?

— Szantażować?! Mnie? To nonsens! — wykrzyknęła Klarysa z przekonaniem. — Nie ma nic, czym można by mnie szantażować.

— Pani kamerdyner Elgin zeznał, że słyszał wzmiankę o szantażu.

— Nie wierzę! Nie mógł nic takiego usłyszeć. Moim zdaniem, on po prostu zmyśla.

— No, no, pani Hailsham-Brown! Czy twierdzi pani stanowczo, że słowo “szantaż” w ogóle nie padło? Po co Elgin miałby zmyślać?

— Przysięgam, że nie było mowy o szantażu! — Klarysa uderzyła pięścią w stół. — Zapewniam pana.... — Nagle jej ręka zawisła w powietrzu. — Och, jakaż jestem głupia! — zaśmiała się z ulgą. — Oczywiście, to było to!

— Przypomniała sobie pani?

— Ależ to nic, naprawdę! Po prostu Oliver wspomniał coś o absurdalnie wysokich opłatach za wynajęcie umeblowanych domów. Pochwaliłam się, że my mieliśmy wyjątkowe szczęście, gdyż płacimy tylko cztery gwinee tygodniowo. A on na to: “Wprost nie do uwierzenia. Co ty trzymasz w zanadrzu? To musi być jakiś szantaż!”. Taka tam głupia paplanina, zaraz o niej zapomniałam.

— Przykro mi, łaskawa pani, ale w to nie wierzę.

— W co pan nie wierzy? — spytała ze zdumieniem.

— Że płacą państwo tylko cztery gwinee za umeblowany dom.

— To szczerą prawdą! Jest pan największym niedowiarkiem na świecie, nie wierzy pan ani jednemu mojemu słowu. Wielu rzeczy nie mogę udowodnić, ale tę jedną — owszem. Zaraz panu pokażę.

Otworzyła szufladę i zaczęła przewracać papiery.

— Proszę!... Nie, to nie to. O, jest! — Podała mu dokument. — Oto umowa o wynajem domu razem z wyposażeniem. Sporządziła ją kancelaria adwokacka, działająca w imieniu egzekutorów. Proszę spojrzeć: cztery gwinee tygodniowo.

— A niech mnie licho! — poddał się inspektor. — Coś niebywałego! Sądziłem, że opłata będzie znacznie wyższa.

Klarysa posłała mu czarujący uśmiech.

— Nie sądzi pan, inspektorze, że należą mi się przeprosiny?

— Najmocniej panią przepraszam — rzekł co prędzej, kraszając swój ton pewną dozą galanterii — ale sama pani przyzna, że to bardzo niezwykle.

— Dlaczego? Co pan ma na myśli? — spytała, chowając dokument do szuflady.

— Cóż, tak się składa, że jacyś państwo zjechali te strony w celu obejrzenia domu. Pani zgubiła w pobliżu nadzwyczaj cenną broszkę, więc wezwali policję i przypadkiem wspomnieli o tej posiadłości. Oburzali się na właścicieli, którzy ponoć zażądali horrendalnej sumy, bo przecież osiemnaście gwinei tygodniowo za dom na takim odludziu to rozbój na równej drodze. Byłem tego samego zdania.

— Tak to naprawdę dziwne — przyznała z uśmiechem Klarysa. — Rozumiem pański sceptycyzm, ale może teraz uwierzy mi pan i w innych sprawach.

— Nie wątpię w pani ostatnie zeznanie. Zwykle przeczuwamy prawdę, zanim ją usłyszymy. Wiem także, że ci trzej panowie mieli poważne powody, by wysmażyć tę całą bajeczkę.

— Niech pan się na nich zbytnio nie gniewa, to wszystko moja wina, po prostu dotąd wierciłam im dziurę w brzuchu, aż...

— O, bynajmniej w to nie wątpię — zapewnił ją inspektor, aż nazbyt świadom jej uroku. — Tylko nadal nie rozumiem, kto zadzwonił na policję i opowiedział o morderstwie?

— Tak, to niebywałe — zreflektowała się Klarysa. — Zupełnie wyleciało mi to z głowy.

— Na pewno nie była to pani. Ani żaden z tamtych trzech dżentelmenów.

— Może Elgin? Albo panna Peake?

— Nie, jej raczej nie posądzam. Najwyraźniej nie miała pojęcia o ukrytych zwłokach.

— Zastanawiam się, czy rzeczywiście.

— Przecież dostała hysterii.

— Och, to nic nie znaczy. Każdy potrafi histeryzować — zauważyła nieostrożnie Klarysa. Inspektor zerknął na nią podejrzliwie, ale zobaczył najbardziej niewinny uśmiech.

— Tak czy inaczej panna Peake nie mieszka w głównym budynku.

— Ale mogła być w domu. Ma przecież klucze do wszystkich drzwi.

— Nie, nie. — Inspektor pokręcił głową. — To mi wygląda raczej na Elgina.

Klarysa podeszła bliżej. Na jej twarzy błysnął nerwowy uśmieszek.

— Chyba nie pośle mnie pan do więzienia? Wujek Roly zapewniał mnie, że to niemożliwe.

Inspektor obrzucił ją surowym spojrzeniem.

— Dobrze się stało, że zmieniła pani zeznania i zdecydowała się powiedzieć prawdę. Ale jeśli wolno mi coś doradzić, to powinna pani jak najprędzej skontaktować się z adwokatem i podać mu wszystkie fakty. Ja tymczasem dam protokół do przepisania na maszynie, potem pani go przeczyta i złoży podpis.

Klarysa chciała odpowiedzieć, ale właśnie w progu stanął sir Rowland.

— Nie mogłem już wytrzymać — wyjaśnił. — Czy wszystko w porządku, inspektorze? Czy zrozumiał pan nasz dylemat?

Klarysa podeszła szybko, zanim powiedział coś więcej, i wzięła go za rękę.

— Roly, kochany... Złożyłam zeznanie i pan Jones zaraz je przepisze na maszynie. Potem muszę tylko podpisać.

Inspektor konferował na boku z konstablem.

— Powiedziałam wszystko — ciągnęła Klarysa — że przestraszyłam się włamywacza, że uderzyłam go w głowę...

Sir Rowland spojrział na nią ze zgrozą, ale szybko zatkała mu dłonią usta i mówiła dalej:

— ...a potem rozpoznałam Costella, wpadłam w panikę i zadzwoniłam po was. I że dotąd was błagałam, aż ustąpiłście. Teraz wiem, że popełniłam błąd...

Inspektor odwrócił się, ale Klarysa zdążyła zabrać dłoń.

— ...ale kiedy to się stało, byłam nieprzytomna ze strachu i pomyślałam, że będzie znacznie wygodniej dla wszystkich, dla mnie, Henry'ego i nawet Mirandy, jeśli ciało Olivera zostanie odnalezione w Marsden Wood.

Sir Rowland stał jak skamieniały.

— Klaryso! Coś ty naopowiadała?!

— Pani Hailsham–Brown złożyła pełne zeznanie — pośpieszył z odpowiedzią inspektor.

— Na to wygląda — odrzekł sir Rowland, przychodząc nieco do siebie.

— To najlepsze, co mogłam zrobić, inspektor mnie przekonał. I bardzo przepraszam za te wszystkie głupie kłamstwa.

— Oszczędzi to pani wielu kłopotów w ostatecznym rozrachunku — zapewnił ją inspektor. — I jeszcze jedno: nie musi pani wchodzić do wnęki, kiedy ciało tam leży, ale proszę mi pokazać, gdzie dokładnie stał Costello, gdy go pani zobaczyła.

— Och... tak, oczywiście... — Podeszła do biurka. — Nie... Już sobie przypominam, stał tak... — Pochyliła się nad końcem biurka.

— Uważaj, Jones! Otworzysz, kiedy ci powiem — rzekł inspektor do konstabla, który stanął przy ruchomej ścianie z ręką na uchwycie. — Więc tutaj stał, tak? Rozumiem. I w tym momencie drzwi się otworzyły? W porządku, nie musi pani tam patrzeć, proszę tylko stanąć przed ścianką, kiedy się otworzy. Jones, teraz!

Konstabl uruchomił mechanizm i wnęka stanęła otworem. Była pusta, jedynie na podłodze leżała jakaś kartka. Jones natychmiast ją pochwycił, inspektor zaś spojrział oskarżycielsko na Klarysę i sir Rowlanda.

Konstabl przeczytał treść karteczki: "Całujcie psa w nos". Inspektor wyrwał mu paperek z ręki.

Klarysa i sir Rowland patrzyli po sobie w niemym zdumieniu.

Nagle odezwał się dzwonek przy głównym wejściu.

Rozdział XIX

Drzwi otworzył Elgin, który następnie zaanonsował inspektorowi przybycie policyjnego lekarza. Obaj policjanci natychmiast pośpieszyli za kamerdynerem do wejścia, gdzie inspektor zmuszony był wyznać, że w tej chwili nie ma żadnych zwłok do zbadania.

— Doprawdy, inspektorze — rzekł poirytowany lekarz. — Czy to znaczy, że jechałem taki kawał drogi, żeby pocałować klamkę?

— Ależ zapewniam pana, że mieliśmy tu ciało.

— Inspektor ma rację — wtrącił się konstabl Jones. — Naprawdę mieliśmy zwłoki. Ale tak się złożyło, że zniknęły.

Głosy wywabiły z jadalni po drugiej stronie hallu Hugona i Jeremy'ego. Na wieść, że ciało zniknęło, nie mogli powstrzymać się od cierpkich komentarzy.

— Ciekawe, jak policja dochodzi do jakichś wyników — rzucił Hugo. — Żeby zgubić zwłoki...

— Nie rozumiem, dlaczego nikt ich nie pilnował — wtórował mu Jeremy.

— Cóż, tak czy inaczej, nie mam tu nic do roboty — zauważył lekarz. — Nie będę już tracił czasu, ale zapewniam pana, że to jeszcze nie koniec.

— Tak, doktorze. Bez wątpienia. Dobranoc, doktorze — bąkał potulnie inspektor.

Lekarz wyszedł, trzaskając drzwiami, inspektor zaś zwrócił się do Elgina, który pośpieszył z odpowiedzią, zanim jeszcze padło pytanie:

— Nic mi o tym nie wiadomo, zapewniam pana, inspektorze. Tymczasem w salonie Klary są i jej opiekun zabawiali się podsłuchiwaniami skonsternowanych oficerów policji.

— Raczej kiepski moment na przybycie posiłków — zachichotał sir Rowland. — Lekarz wydawał się dość zdenerwowany brakiem dala.

— Ale kto wpadł na taki pomysł? Jak sądzisz, czy Jeremy maczał w tym palce?

— Nie bardzo rozumiem, w jaki sposób. Przecież nikogo nie wpuszczali do biblioteki przez salon, a drzwi z biblioteki do hallu były zamknięte na klucz. Ta karteczka Pippy to gwóźdź do trumny.

Klarysa się zaśmiała, a sir Rowland mówił dalej:

— A jednak dowiedzieliśmy się z tego, że Costello otworzył w końcu tajemną szufladkę. — Nagle spoważniał. — Klaryso, na miłość boską! Czemu nie powiedziałaś inspektorowi prawdy, chociaż tak

cię prosiłem?

— Powiedziałam. Z wyjątkiem tego, co dotyczyło Pippy. Ale on mi po prostu nie uwierzył.

— Ależ bój się Boga, po co naplotłaś tych strasznych bzdur?

— Cóż... — Klarysa rozłożyła bezradnie ręce. — Wydało mi się, że zabrzmiało to dość prawdopodobnie. No i w końcu uwierzył — zakończyła z triumfem w głosie.

— I wpakowałaś nas wszystkich w niezłe tarapaty. Z tego, co wiem, zostaniesz oskarżona o morderstwo.

— Będę się upierać, że to było w obronie własnej — odparła z przekonaniem.

Zanim sir Rowland zdążył jej odpowiedzieć, zjawili się pozostali panowie. Hugo podszedł prosto do stolika brydżowego, burcząc pod nosem:

— Parszywe gliny! Żeby nas tak rozstawiać po kątach! Ale chyba sobie poszli i na dodatek zginęło im ciało.

Jeremy wziął sobie kanapkę.

— Cholernie dziwne, powiedziałbym.

— Wprost niesamowite — przyznała Klarysa. — Ciało zniknęło, a my dalej nie wiemy, kto zadzwonił na policję i doniósł o morderstwie.

— Na pewno Elgin — rzekł Jeremy, siadając na poręczy sofy i zabierając się do kanapki.

— Nie, nie — zaprotestował Hugo. — Według mnie to ta Peake.

— Ale dlaczego? — dziwiła się Klarysa. — Czemu w ogóle któreś z nich miałyby dzwonić, nie uprzedziwszy przedtem kogoś z nas? To bez sensu.

Drzwi do hallu otworzyły się i weszła panna Peake, rozglądając się wokół z miną spiskowca.

— Halo, droga wolna? Nie ma gliniarzy? Zdawało mi się, że wszędzie się od nich roi.

— Przeszukują teraz ogród i grunta — wyjaśnił sir Rowland.

— Po co?

— Z powodu ciała. Zniknęło.

Panna Peake zaniósła się serdecznym śmiechem.

— A to dopiero numer! Znikający trup! Hugo podniósł wzrok zza stolika do brydża.

— To jakiś koszmar — rzekł, patrząc w przestrzeń.

— Jak w kinie, co nie, proszę pani? — zaśmiała się znów panna Peake.

— Mam nadzieję, że lepiej się pani czuje? — zapytał z kurtuazją sir Rowland.

— O, tak! W zasadzie jestem dość twarda, ale po prostu ścięło mnie z nóg, jak otworzyłam drzwi i zobaczyłam trupa.

— Zastanawiałam się, czy pani przypadkiem nie wiedziała o nim wcześniej — rzekła spokojnie Klarysa.

Ogrodniczka wytrzeszczyła na nią oczy.

— Kto, ja?

— Tak, pani.

— To bez sensu — odezwał się Hugo, nie zwracając się do nikogo konkretnego. — Po co usuwać ciało? Przecież wszyscy wiedzieli, że nieboszczyk tam jest, znaleźmy jego nazwisko i tak dalej. W tym nie ma ani krztyny logiki. Niechby tam sobie leżał.

— O, tu się z panem nie zgadzam, panie Birch — zaprotestowała panna Peake, wychylając się ku niemu przez stół. — Ciało jest absolutnie niezbędne. Wie pan, “Habeas corpus” i takie tam. Bez ciała nie można nikogo oskarżyć, więc proszę się nie martwić, pani Hailsham–Brown, wszystko jest na dobrej drodze.

— Co pani ma na myśli? — spytała Klarysa ze zdumieniem.

— Dobrze nastawiałam uszu dzisiejszego wieczoru. Wcale nie cały czas leżałam w łóżku. — Rozejrzała się po zebranych. — Nigdy nie lubiłam Elgina i jego żony. Podśluchują pod drzwiami, donoszą na policję, wymyślają historyjki o szantażu...

— Więc pani to słyszała?

— Zawsze powiadam, że należy trzymać z własną płcią — oświadczyła panna Peake i zerknęła spod oka na Hugona. — Mężczyźni! Nic mi do nich. Ale jeśli nie znajdą ciała, moja droga, to nici z aktu oskarżenia. A skoro jakiś brutal ośmielił się panią szantażować, słusznie dała mu pani w łeb. Krzyżyk na drogę.

— Ależ ja nie... — zaczęła Klarysa, ale panna Peake jej przerwała.

— Słyszałam, co mówiła pani inspektorowi. I gdyby nie ten skunks Elgin ze swoim podśluchiowaniem, wszystko trzymałoby się kupy. Całkiem wiarygodna historia.

— O której historii pani mówi? — zdziwiła się Klarysa.

— O tym, jak wzięła pani Costella za włamywacza. I jedynie ten szkopał z szantażem wszystko popsuł. Więc pomyślałam sobie, że jest tylko jedno wyjście: trzeba pozbyć się ciała, a policja zje własny ogon, zanim je znajdzie.

Sir Rowland aż się cofnął ze zdumienia. Panna Peake patrzyła na nich ze spokojną pewnością siebie.

— Chytra ze mnie sztuka, co? Sama muszę to przyznać. Jeremy wstał, kompletnie oszołomiony.

— To znaczy, że to pani zabrała ciało? — spytał z niedowierzaniem.

Teraz już wszystkie oczy utkwione były w ogrodniczkę.

— Jesteśmy tu wśród przyjaciół, nie? Więc mogę wyłożyć kawę na ławę: tak, to ja. I zamknęłam drzwi na klucz. — Trzepnęła się po kieszeni. — Mam klucze do wszystkich drzwi w tym domu, więc nie miałam z tym problemu.

Klarysa wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę, zanim odzyskała mowę.

— Ale jak?... Gdzie go pani schowała?

— Łóżko w gościnnym pokoju — odparła tamta konspiracyjnym szeptem. — Wie pani, to wielkie, z kolumnkami.

W poprzek wezglowia, pod wałkiem. Potem zaścieliłam łóżko i sama się na nim położyłam.

— A jak się pani udało przenieść taki ciężar?

— Zdziwiłaby się pani. To stary strażacki chwyt. Przez ramię — i siup! — Tu zademonstrowała stosowny ruch.

— A gdyby spotkała pani kogoś na schodach? — spytał sir Rowland.

— Ale nie spotkałam. Policja była z panią Hailsham–Brown w tym pokoju. Was trzymali w jadalni. No więc skorzystałam z okazji, złapałam trupa i zamknawszy drzwi do biblioteki, zataszczyłam go po schodach do gościnnego.

— Na mą duszę! — sapnął sir Rowland. Klarysa wstała.

— Ale nie może leżeć pod tym wałkiem do końca świata.

— Nie, oczywiście, że nie — zgodziła się — panna Peake. — Chociaż dwadzieścia cztery godziny wytrzyma. Do tego czasu policja skończy przetrząsanie domu i terenu, po czym przeniesie się dalej. — Powiodła wzrokiem po zafascynowanych twarzach słuchaczy. — Zresztą wymyśliłam już, jak się go pozbędziemy. Akurat dzisiaj wykopałam w ogrodzie całkiem spory rów... pod groszek pachnący. Możemy wsadzić tam trupa, a na wierzchu puścimy rzędy ślicznego groszku.

Klarysie zabrakło słów. Osunęła się na sofę.

— Obawiam się, panno Peake, że kopanie grobów nie jest już prywatnym przedsięwzięciem — zauważył sir Rowland.

Ogrodniczka roześmiała się i pogroziła mu palcem.

— Ach, ci mężczyźni! Zawsze tak ściśle przestrzegają przepisów. Kobiety mają więcej zdrowego rozsądku. — I pochylając się do Klarysy, dodała: — Damy sobie radę nawet z morderstwem, nie, proszę pani?

Hugo zerwał się na równe nogi.

— To absurd! — krzyknął. — Klarysa go nie zabiła, nie wierzę w ani jedno słowo!

— Skoro nie ona, to kto? — spytała chłodno panna Peake.

W tej chwili do pokoju weszła bardzo zaspana Pippa. Była w szlafroku i poruszała się jak we śnie, ziewając co chwilę. W ręku trzymała szklaną salaterkę z kremem czekoladowym wraz z łyżeczką. Wszyscy obrócili się w jej stronę.

Rozdział XX

Klarysa zerwała się z sofy.

— Pippo! Co ty tu robisz? Czemu nie jesteś w łóżku?

— Obudziłam się i zesłam — odparła dziewczynka między jednym a drugim ziewnięciem.

Macocha podprowadziła ją do sofy. Pippa usiadła i spojrzała na nią z wyrzutem.

— Jestem taka głodna! Obiecałaś, że mi to przyniesiesz. Klarysa zabrała jej salaterkę, postawiła ją na stoliku, a sama usiadła przy pasierbicy.

— Myślałam, że śpisz — wyjaśniła.

— Bo spałam — rzekła Pippa, ziewając jak krokodyl. — Nagle wydało mi się, że wszedł jakiś policjant i gapi się na mnie. Miałam paskudny sen, potem się obudziłam i zachciało mi się jeść, więc zesłam na dół. — Zadrzała i rozejrzała się dookoła. — Poza tym pomyślałam, że to może być prawda.

Sir Rowland usiadł przy niej z drugiej strony.

— Co może być prawdą? — zapytał.

— Ten straszny sen o Oliverze — odparła, drżąc na całym ciele.

— Co to za sen, Pippo?

Zdenerwowana dziewczynka wyciągnęła z kieszeni szlafroka grudkę wosku.

— Zrobiłam to dziś wieczorem. Roztopiłam świeczkę, potem rozzarzyłam do czerwoności szpilkę i przebiłam figurkę.

I podała sir Rowlandowi woskową figurkę.

— Dobry Boże! — krzyknął Jeremy. Zerwał się z miejsca i zaczął nerwowo rozglądać się po pokoju w poszukiwaniu książki, którą Pippa próbowała mu wcześniej pokazać.

— Wypowiedziałam odpowiednie słowa i w ogóle — tłumaczyła Pippa sir Rowlandowi — ale nie mogłam zrobić tego dokładnie tak jak w książce.

— Co to za książka? Nic nie rozumiem — dopytywała się Klarysa.

Jeremy zdążył już spenetrować półki i znaleźć to, czego szukał.

— Proszę, jest. — Wręczył ją Klarysie. — Pippa kupiła to dziś na bazarze. Mówiła, że to książka z przepisami.

Pippa nagle wybuchnęła śmiechem.

— A pan zapytał, czy to da się jeść.

Klarysa przyglądała się książce.

— “Sto wypróbowanych i pewnych czarów” — przeczytała tytuł i zaczęła przewracać kartki. — “Jak wyleczyć kurzajki? Jak spełnić marzenie serca? Jak zniszczyć wroga?”. Och, Pippo, czy to właśnie zrobiłaś?

Pippa spojrzała jej z powagą w oczy.

— Tak.

Kiedy Klarysa oddała książkę Jeremy’emu, Pippa zerknęła na figurkę, którą wciąż trzymał sir Rowland.

— Niezbyt przypomina Olivera — przyznała dziewczynka. — I nie udało mi się zdobyć jego włosów. Ale starałam się, jak tylko mogłam, a potem... potem mi się śniło... myślałam... — Odgarnęła włosy z twarzy. — Wydało mi się, że tu zeszedł i on tam leżał. — Pokazała za sofę. — I to była prawda. Leżał tam, martwy. Zabiłam go. — Znow zaczęła dygotać. — Czy to prawda? Czy go zabiłam?

— Nie, kochanie — odrzekła Klarysa przez łzy, obejmując ją ramieniem.

— Przecież on tam był!

— Owszem, był — przyznał sir Rowland, odstawiając figurkę na stolik. — Ale go nie zabiłaś. Kiedy przebiłaś szpilką figurkę, zabiłaś tylko swą nienawiść i strach. Teraz już się go nie boisz i nie czujesz nienawiści, prawda?

— Tak, to prawda. Jednak widziałam go. Zeszedł na dół i zobaczyłam, że jest martwy. — Oparła mu głowę o ramię. — Naprawdę, wujku Roly.

— Zgoda, kochanie, widziałaś. Ale nie ty go zabiłaś. Posłuchaj mnie uważnie: ktoś uderzył go w głowę grubą laską. Ty przecież tego nie zrobiłaś?

— Och, nie! — Pippa potrząsnęła energicznie głową. — Nie, laską nie. — Obróciła się do Klarysy: — Chodzi o kij golfowy, taki jak ma Jeremy?

— Nie, nie kij golfowy. — Warrender się uśmiechnął. — Coś w rodzaju tej grubej laski ze stojaka w hallu.

— Masz na myśli tę, która dawniej należała do pana Sellona, a panna Peake nazywała ją maczugą?

Jeremy przytaknął.

— Ależ nie! Tego bym nie zrobiła, po prostu bym nie mogła. — I znów obróciła się do sir Rowlanda. — Ach, wujku Roly, przecież nie chciałam go zabić naprawdę!

— Oczywiście, że nie chciałaś — wtrąciła się Klarysa trzeźwym, opanowanym głosem. — No, kochanie, zjesz teraz swój krem i o wszystkim zapomnisz.

Podawała Pippie salaterkę, ta jednak potrząsnęła głową. Razem z sir Rowlandem ułożyli dziewczynkę na sofie. Klarysa wzięła ją za rękę, a starszy pan pogładził ją czule po głowie.

— Nie rozumiem z tego ani słowa — odezwała się panna Peake. — Co to za książka? — spytała Jeremy'ego.

— “Jak sprowadzić pomór na bydło sąsiadów”. Czy to panią interesuje? Ośmielam się zauważyć, że przy paru poprawkach można by ten sposób zastosować do czyichś róż.

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— To czarna magia.

— Dzięki Bogu, nie jestem przesądna — prychnęła gniewnie ogrodniczka, odsuwając się od niego.

Hugo, który usiłował nadażyć za rozwojem wypadków, dał wreszcie za wygraną.

— Jestem kompletnie otumaniony — wyznał.

— Ja także — oświadczyła panna Peake, klepiąc go po ramieniu. — Pójdę zerknąć, jak sobie radzą chłopaki w mundurach.

I zaśmiawszy się kordialnie, zniknęła w hallu.

Sir Rowland powiódł wzrokiem po twarzach zebranych.

— I dokąd nas to zaprowadzi? — zastanawiał się na głos. Klarysa wciąż jeszcze przetrawiała ostatnie rewelacje.

— Co za idiotka ze mnie! Przecież powinnam wiedzieć, że ona by nigdy... Nic nie wiedziałam o tej książce. Pippa powiedziała, że go zabiła, a ja... ja jej uwierzyłam.

Hugo wstał.

— Chcesz powiedzieć, że ją podejrzewałaś o...

— Tak, mój drogi — przerwała mu niecierpliwie, wyraźnie chcąc go powstrzymać od dokończenia tej myśli. Na szczęście Pippa spała spokojnie na sofie.

Sir Rowland kręcił z namysłem głową.

— Sam nie wiem — mruknął. — Klarysa opowiedziała im trzy różne historie...

— Nie. Zaczekaj... Mam pomysł. Hugo, pamiętasz nazwę sklepu pana Sellona?

— Po prostu “sklep z antykami”.

— Tak, wiem. Ale jak się nazywał?

— O co ci właściwie chodzi?

— Och, nie utrudniaj. Wymieniłeś tę nazwę wcześniej, chcę, żebyś ją powtórzył. Ale sama ci jej nie podpowiem.

Hugo, Jeremy i sir Rowland wymienili spojrzenia.

— Wiecie, do czego pije ta dziewczyna? — spytał udręczonym głosem Hugo.

— Nie mam pojęcia — odparł sir Rowland. — Spróbuj jeszcze raz, Klaryso.

Popatrzyła na nich z desperacją.

— To proste. Jaką nazwę nosił sklep z antykami w Maidstone?

— Nie miał nazwy — odrzekł Hugo. — Tego typu sklepy nie mają nazw w rodzaju “Panorama” czy “Muszelka”.

— Boże, daj mi cierpliwość! — mruknęła Klarysa przez zaciśnięte zęby. Wolno i wyraźnie, robiąc przerwę po każdym słowie, zapytała raz jeszcze: — Jak brzmiał napis nad drzwiami?

— Napis? Tam były tylko nazwiska właścicieli: Sellon i Brown.

— Nareszcie! — wykrzyknęła triumfalnie. — Tak mi się właśnie zdawało, ale nie byłam pewna. Sellon i Brown. A ja się nazywam Hailsham-Brown. — Przyjrzała się im kolejno, ale na żadnej twarzy nie dostrzegła błysku zrozumienia. — Wynajęto nam ten dom za psie pieniądze! A od innych ludzi, którzy oglądali go przed nami, żądano astronomicznych sum. Teraz rozumiecie?

— Nie — odparł Hugo.

— Jeszcze nie, złotko — dodał Jeremy.

— Jestem ciemny jak tabaka w rogu — westchnął sir Rowland.

Na twarzy Klarysy malowało się skrajne podniecenie.

— Wspólniczką pana Sellona jest kobieta z Londynu. Dzisiaj ktoś tu telefonował i prosił panią Brown. Nie Hailsham-Brown, tylko Brown.

— Teraz widzę, do czego zmierzasz — rzekł wolno sir Rowland.

— A ja nie — oświadczył Hugo. Popatrzyła na nich z uwagą.

— Dziewczyna jak łania, łania jak dziewczyna... Niby to samo, a jednak co innego.

— Czy ty nie masz gorączki? — spytał z troską Hugo.

— Ktoś zabił Olivera — przypomniała im bezlitośnie. — I nie był to żaden z was. Ani ja czy Henry. I dzięki Bogu nie Pippa. Więc kto?

— Pewnie jest tak, jak powiedziałem inspektorowi — zasugerował sir Rowland. — To robota kogoś z zewnątrz. Ktoś śledził Olivera aż tutaj...

— Tak, ale dlaczego? — Nie uzyskawszy odpowiedzi, snuła dalej swe spekulacje: — Kiedy zostawiłam was dziś przy bramie, wróciłam przez ogrodowe drzwi i zastałam w salonie Olivera. Zdziwił się na mój widok i spytał: “Co ty tu robisz?”. Pomyślałam wtedy, że chciał mnie zdenerwować, ale może wcale nie udawał zaskoczenia? — Patrzyli na nią z uwagą, ale dalej nic nie mówili. — A nie udawał, gdyż spodziewał się zastać tu panią Brown, współpracowniczkę pana Sellona.

Sir Rowland pokręcił wolno głową.

— Czyżby nie wiedział, że Henry i ty wynajęliście ten dom? Miranda też nie wiedziała?

— Miranda kontaktuje się z nami wyłącznie za pośrednictwem prawników. Ani ona, ani Oliver nie musieli wiedzieć, że tu mieszkamy. Właściwie jestem pewna, że Costello nie miał o niczym pojęcia, lecz szybko się opanował i wymyślił pretekst, że chce porozmawiać na temat Pippy. Potem udał, że wyjeżdża, ale wrócił, ponieważ...

Urwała, gdyż z hallu nadeszła panna Peake.

— Polowanie w toku — oznajmiła ze śmiechem. — Zajrzeli już pod łóżka, a teraz buszują na zewnątrz.

Klarysa obrzuciła ją baczny spojrzeniem..

— Panno Peake, czy pamięta pani, co Oliver Costello powiedział przed wyjściem?

Ogrodniczka patrzyła na nią tępym wzrokiem.

— Nie mam bladego pojęcia.

— Czyż nie powiedział: “Przyszedłem zobaczyć się z panią Brown?”.

— Chyba tak. A bo co?

— Ale nie chodziło mu o mnie.

Panna Peake wciąż uśmiechała się jowialnie.

— Cóż, jeśli nie, to nie wiem, o kogo.

— O panią — rzekła z emfazą Klarysa. — Bo to pani jest panią Brown, prawda?

Rozdział XXI

Panna Peake była tak zaskoczona, że w pierwszej chwili nie wiedziała, jak zareagować. Kiedy wreszcie zdecydowała się mówić, kompletnie zmieniła ton i sposób bycia. Porzuciła dawną jowialność i serdeczność, nabrała powagi.

— Sprytnie to pani wymyśliła. Tak, jestem panią Brown.

Tymczasem Klarysa myślała intensywnie.

— Była pani współpracowniczką pana Sellona. Odziedziczyła pani po nim ten dom razem z całym interesem. Z jakiegoś powodu szukała pani lokatora, a właściwie lokatorki o nazwisku Brown. Nie przewidywała pani trudności, to dość popularne nazwisko. Ale ostatecznie stanęło na Hailsham–Brown. Nie mam pojęcia, dlaczego chciała pani postawić mnie w świetle reflektorów, a sama przycząć się w cieniu. Nie rozumiem, czemu...

Pani Brown alias panna Peake przerwała jej stanowczo:

— Charles Sellon został zamordowany. Co do tego nie ma wątpliwości. Zdobył coś wyjątkowo cennego, nie wiem, w jaki sposób, i nawet nie wiem, co to takiego. On zawsze był bardzo... — zawahała się — skryty.

— Tak, słyszeliśmy — przyznał sucho sir Rowland.

— Cokolwiek to było, został z tego powodu zabity. A jednak morderca nie odnalazł tej rzeczy, prawdopodobnie dlatego, że Sellon nie trzymał jej w sklepie, tylko w domu. Domyśliłam się, że zbrodniarz prędzej czy później zjawi się tu i zacznie szukać. Chciałam się na niego zacząć i dlatego potrzebowałam fałszywej pani Brown.

Sir Rowland wydał okrzyk oburzenia.

— A nie martwiło pani, że pani Hailsham–Brown, niewinna osoba, która nie wyrządziła pani żadnej krzywdy, może znaleźć się w niebezpieczeństwie?

— Miałam na nią oko, czyż nie? Nawet czasem was to złościło. Tamtego dnia, kiedy zjawił się ów człowiek, który zaferował horrendalną cenę za biurko, z pewnością byłam na dobrym tropie, chociaż mogłabym przysiąc, że nie ma w tym biurku nic godnego uwagi.

— A sprawdziła pani ukrytą szufladkę? — spytał sir Rowland.

— Jest jakaś ukryta szufladka?

— Teraz jest pusta — wtrąciła Klarysa. — Znalazła ją Pippa, ale w środku były tylko jakieś stare autografy.

— Chciałbym je jeszcze raz obejrzeć — zażądał sir Rowland.

Klarysa podeszła do sofy.

— Pippo, gdzie położyłaś... Ach, ona śpi. Pani Brown spojrzała na dziewczynkę.

— Śpi jak kamień — potwierdziła. — To przez te wszystkie emocje. Wie pani co? Zaniosę ją na górę i położę do łóżka.

— Nie — warknął sir Rowland.

Wszyscy na niego spojrzeli.

— Toż ona nic nie waży — nalegała pani Brown. — Co to jest w porównaniu z nieboszczykiem Costello!

— Wszystko jedno. Uważam, że tu jest bezpieczniejsza.

Pani Brown cofnęła się o krok i powiodła wokół oburzonym spojrzeniem.

— Bezpieczniejsza?

— Tak, nie przesłyszała się pani. To dziecko dopiero co powiedziało coś bardzo ważnego.

Usiadł przy stoliku brydżowym, obserwowany przez pozostałych. Hugo zajął miejsce naprzeciwko i spytał:

— Co to było, Roly?

— Jeśli poszperacie w pamięci, to może sami na to wpadniecie.

Patrzyli po sobie bezradnie, on zaś zabrał się do studiowania "Who's Who".

— Nic z tego — rzekł po chwili Hugo.

— Co powiedziała Pippa? — zastanawiał się głośno Jeremy.

— Nie mam pojęcia — wyznała Klarysa, usiłując cofnąć się w czasie. — Coś o policjancie? Albo o śnie? Zeszła tu, na wpół śpiąca...

— No, Roly — prosił Hugo. — Nie bądź taki tajemniczy! o co tu chodzi?

Sir Rowland podniósł wzrok znad książki.

— Co? — spytał z roztargnieniem. — Ach, tak. Te autografy, gdzie one są?

Hugo pstryknął palcami.

— Chyba sobie przypominam. Pippa włożyła je do pudełka z muszelek, o, tego tam.

Jeremy podszedł do regału.

— Tutaj? — Znalazłszy pudełko, wyjął z niego kopertę. — Tak, rzeczywiście. — Wręczył sir Rowlandowi autografy i kiedy ten zaczął je studiować pod lupą, schował kopertę do kieszeni.

— Victoria regina, niech Bóg ma ją w opiece — mruzczał do siebie sir Rowland. — Królowa Wiktorja. Wyblakły brązowy atrament. A to? John Ruskin... tak, to autentyk. Zobaczmy trzeci?... Robert Browning... hm... papier nie wygląda dostatecznie staro.

— Roly! — wykrzyknęła Klarysa. — O co ci chodzi?

— Znam się trochę na niewidzialnych atramentach i tego rodzaju sztuczkiach. Stare, wojenne doświadczenia. Jeśli chcesz przekazać komuś sekretną wiadomość, wystarczy zapisać ją niewidzialnym atramentem, a na wierzchu sfalszować czyjś autograf. Potem wkłada się kartkę między inne autentyczne autografy i nikt nie zwróci na nią uwagi ani nie spojrzy na nią drugi raz. Tak jak my.

Pani Brown wyglądała na zaintrygowaną. — Ale co Charles Sellon mógł tu napisać, żeby to było warte aż czternaście tysięcy funtów?

— Nic, zupełnie nic, droga pani. Ale przyszło mi do głowy, że mogło tu chodzić o bezpieczeństwo.

— Bezpieczeństwo?

— Oliver Costello był podejrzany o handel narkotykami. Sellona — jak mówił inspektor — dwukrotnie przesłuchiwała Brygada Antynarkotykowa. To chyba jakoś się wiąże, nie sądzi pani?

Wpatrywała się w niego nic nierozumiejącym wzrokiem, więc mówił dalej:

— Oczywiście mogę się mylić. — Przyjrzał się raz jeszcze autografowi. — Nie sądzę, by Sellon zastosował coś bardzo skomplikowanego. Sok z cytryny albo roztwór chlorku baru, potem wystarczy lekko podgrzać i wszystko wychodzi. Zawsze można potem spróbować oparów jodiny. — Wstał. — Robimy eksperyment?

— W bibliotece jest elektryczny grzejnik — przypomniała sobie Klarysa. — Jeremy, bądź tak dobry...

Warrender wyszedł do biblioteki.

— Tu go włączymy. — Klarysa wskazała gniazdko zamontowane w listwie biegnącej dookoła salonu.

— To wszystko jest śmieszne — prychnęła pani Brown. — Za bardzo naciągane, by o tym mówić.

— Wcale nie. Uważam, że to świetny pomysł — upierała się Klarysa, patrząc na Jeremy'ego, który właśnie wrócił z niedużym grzejnikiem.

— Jest! — oznajmił. — Gdzie go włączymy?

— Tutaj. — Pokazała mu gniazdko. Jeremy podał jej grzejnik i przeciągnął sznur.

Sir Rowland wziął autograf Roberta Browninga i podszedł do ustawionego na podłodze grzejnika. Reszta zebranych przysunęła się bliżej, by śledzić eksperyment.

— Nie róbmy sobie zbyt wielkiej nadziei — ostrzegł ich sir Rowland. — W końcu to tylko mój pomysł, choć Sellon musiał mieć powód, by trzymać takie świstki w sekretnym miejscu.

— To mi przypomina dawne czasy — westchnął Hugo. — Pamiętam, że jako dziecko pisywałem sekretne notatki sokiem z cytryny.

— Od którego zaczniemy? — spytał z entuzjazmem Jeremy.

— Głosuję za królową Wiktorią — rzekła Klarysa.

— Nie, sześć do jednego za Ruskinem — zaproponował Warrender.

Ja stawiam na Roberta Browninga — oświadczył sir Rowland i przybliżył kartkę do grzejnika.

— Ruskin? — skrzywił się Hugo. — Mętny typ. Nigdy nie rozumiałem ani słowa z jego poezji.

— Owszem, pełno w niej ukrytych znaczeń — przyznał sir Rowland.

Wszyscy powyciągali szyje.

— Nie wytrzymam, jeśli nic się nie zdarzy — jęknęła Klarysa.

— Wydaje mi się... Tak, coś tu jest — mruknął sir Rowland.

— Owszem, coś wychodzi — poparł go Jeremy.

— Naprawdę? Pokażcie! — ucieszyła się Klarysa. Hugo przepchnął się do przodu.

— Z drogi, młody człowieku.

— Spokojnie, nie trącajcie mnie... tak, jest pismo! — Sir Rowland wyprostował się szybko. — Mamy to!

— Ale co? — chciała wiedzieć pani Brown.

— Listę sześciu nazwisk i adresów. Dystrybutorzy narkotyków. Jest wśród nich Costello.

Rozległy się okrzyki zdziwienia.

— Oliver! — mruknęła Klarysa. — Więc po to tu przyszedł. Ktoś go musiał śledzić i... Och, wujku Roly, trzeba zawiadomić policję. Chodź, Hugo.

Pośpieszyli razem do drzwi. Hugo mamrotał pod nosem:

— Coś niesamowitego...

Tymczasem Jeremy wyłączył grzejnik i odniósł go do biblioteki. Sir Rowland zebrał pozostałe autografy i zamierzając pójść za swą podopieczną, obejrzał się w progu.

— Idzie pani, panno Peake?

— A jestem panu potrzebna?

— Chyba tak. Była pani współniczką Sellona.

— Ale nigdy nie miałam nic wspólnego z narkotykami. Zajmowałam się wyłącznie sprawami antyków. Kierowałam interesami w Londynie, kupowałam, sprzedawałam i tak dalej.

— Rozumiem — odparł sucho sir Rowland i przytrzymał drzwi, czekając, aż wyjdzie.

W chwilę później do salonu wrócił Jeremy. Zamknął starannie drzwi do biblioteki, przemknął do tych z hallu i nasłuchiwał pilnie przez chwilę. Potem zerknął na Pippę, wziął z fotela poduszkę i powoli przesunął się w stronę sofy.

Dziewczynka poruszyła się we śnie. Jeremy zastygł na chwilę, ale upewniwszy się, że Pippa śpi, podszedł bliżej, stanął za jej głową i zaczął z wolna opuszczać poduszkę.

W tym momencie weszła Klarysa. Usłyszawszy, że drzwi się otwierają, Jeremy ostrożnie umieścił poduszkę na nogach śpiącej.

— Przypomniałem sobie, co mówił sir Rowland — tłumaczył się Klarysie. — Może rzeczywiście nie powinniśmy zostawiać Pippy samej. Miała zimne nogi, więc postanowiłem ją przykryć.

Klarysa usiadła na taborecie.

— Z tego wszystkiego okropnie zgłodniałam. — Spojrzała na talerz i wydała okrzyk zawodu: — Och, Jeremy, wszystkie wyjadłeś!

— Bardzo mi przykro, ale konałem z głodu — wyjaśnił bynajmniej nie zmartwionym tonem.

— Nie rozumiem, czemu miałbyś być głodny. W końcu jadłeś obiad, a ja nie.

Jeremy przysiadł na oparciu sofy.

— Nie jadłem obiadu. Cały czas trenowałem uderzenia i przyszedłem do jadalni dopiero po twoim telefonie.

— Ach, tak? — rzuciła obojętnie Klarysa. Pochyliła się nad sofą, żeby poprawić poduszkę. Nagle oczy jej się rozszerzyły. — A więc to tak... — rzekła cicho. — Ty... To byłeś ty.

— O co ci chodzi?

— Ty...

— Co za “ty”?

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Co robiłeś z tą poduszką, kiedy weszłam do pokoju?

Jeremy się roześmiał.

— Mówiłem ci. Okrywałem Pippie nogi, bo zmarzła.

— Naprawdę? A może raczej zamierzałeś przycisnąć do jej twarzy?

— Klaryso! — wykrzyknął z oburzeniem. — Co za śmieszne rzeczy wygadujesz!

— Byłam pewna, że nikt z nas nie mógłby zabić Costella. Powtórzyłam to wszystkim. Ale jednak ktoś miał taką okazję: ty. Przebywałeś sam na polu golfowym. Wróciłeś do domu przez okno w bibliotece, które umyślnie zostawiłeś otwarte. Miałeś w ręku kij golfowy i to właśnie zauważyła Pippa. Powiedziała: “Kij golfowy, taki jak miał Jeremy”. Widziała cię.

— To absolutny nonsens — bronił się Jeremy, próbując się zmusić do uśmiechu.

— Wcale nie nonsens. Kiedy zabiłeś Olivera, wróciłeś do klubu i zadzwoniłeś na policję, żeby tu przyjechali i obciążyli winą mnie albo Henry’ego.

Jeremy zerwał się na równe nogi.

— Co za stek bzdur!

— Nie, nie. To prawda. Ale dlaczego? Tego właśnie nie mogę pojąć. Dlaczego?

Stali naprzeciwko siebie w pełnej napięcia ciszy. Nagle Jeremy westchnął głęboko i wyjął z kieszeni kopertę. Pokazał ją Klarysie z daleka.

— Dlatego.

— To przecież koperta, w której były autografy.

— Jest na niej szwedzki znaczek, tak zwany błędnodruk. Wydrukowano go przez pomyłkę w złym kolorze. W zeszłym roku kosztował czternaście tysięcy trzysta funtów.

— Ach, więc to tak... — wykrztusiła Klarysa, cofając się o krok.

— Znaczek znalazł się w posiadaniu Sellona — ciągnął Jeremy. — Ten napisał o nim do mojego szefa, sir Kennetha, ale to ja otworzyłem list. Przyjechałem zobaczyć się z Sellonem... — Zawiesił

głos.

— ...i zamordowałeś go — dokończyła Klarysa. Jeremy wolno pokiwał głową.

— Ale nie mogłeś znaleźć znaczka.

— Znów trafiłaś. Nie było go w sklepie, więc uznałem, że trzymał go w domu. — Szedł krok za krokiem w jej stronę, ona zaś wciąż się cofała. — Dziś wieczorem byłem niemal pewien, że Costello mnie uprzedził.

— Więc zabiłeś go także.

Ponownie przytaknął.

— A przed chwilą chciałeś zabić Pippę.

— Czemu nie?

— Nie mogę w to uwierzyć.

— Moja droga, czternaście tysięcy funtów to kupa forsy — zauważył z przeproszającym, a zarazem fałszywym uśmiechem.

— Ale dlaczego mi to wszystko opowiadasz? — spytała, tknięta nagłym strachem. — Czy choć przez chwilę sądziłeś, że nie pójdę na policję?

— Naopowiadałaś im już tyle kłamstw, że nigdy ci nie uwierzą.

— Uwierzą!

— A poza tym — dodał, podchodząc jeszcze bliżej — nie będziesz miała okazji. Skoro zabiłem już dwie osoby, nie będę martwił się o trzecią...

Złapał ją za gardło, ale zdołała jeszcze wydać przeraźliwy wrzask.

Rozdział XXII

Krzyk wywołał błyskawiczną reakcję. Do salonu wpadł z hallu sir Rowland, zapalając po drodze kinkiety, w drzwiach ogrodowych stanął konstabl Jones, a z biblioteki pośpieszył inspektor, który pochwycił Jeremy'ego.

— No dobra, Warrender. Słyszeliśmy wszystko, dziękujemy, to nam wystarczy. Proszę o tę kopertę.

Klarysa stała za sofą, trzymając się za gardło. Jeremy spełnił polecenie i zauważył chłodno:

— Więc to była pułapka? Bardzo sprytnie.

— Jeremy Warrender! Jest pan aresztowany za morderstwo Olivera Costello. Uprzedzam, że cokolwiek pan powie, może być użyte przeciwko panu.

— Oszczędź pan sobie fadygi. Nie zamierzam nic mówić. Gra była warta świeczki, ale nie wypaliła.

— Wyprowadź go stąd — polecił inspektor konstablowi, który ujął Jeremy'ego za ramię.

— Co jest, panie Jones? Zapomniało się kajdanków? — spytał zimno aresztant, kiedy wykręcano mu rękę do tyłu i wyprowadzano przez ogrodowe drzwi.

Sir Rowland odprowadzał go wzrokiem, kręcąc ze smutkiem głową.

— Nic ci nie jest, moja droga? — zwrócił się następnie do Klarysy.

— Nie, już w porządku.

— Nigdy nie zamierzałem narazić cię na taki wstrząs.

Rzuciła mu przebiegłe spojrzenie.

— Wiedziałaś, że to Jeremy, prawda?

Zanim zdążył odpowiedzieć, wtrącił się inspektor:

— Ale co panu nasunęło myśl o znaczkach?

Sir Rowland wziął z jego rąk kopertę.

— Cóż... Pierwszy dzwonek odezwał się w chwili, kiedy Pippa pokazała mi tę kopertę. A potem znalazłem w "Who's Who" informację, że sir Kenneth Thomson, pracodawca Warrendera, jest

zapalonym filatelistą. To wzbudziło jeszcze większe podejrzenia, aż wreszcie, kiedy miał czelność schować kopertę do kieszeni pod samym moim nosem, nabrałem całkowitej pewności. — Oddał kopertę inspektorowi. — Proszę na nią bardzo uważać. Sam pan się przekona, że ma ogromną wartość poza tym, że stanowi dowód zbrodni.

— To prawda. Dzięki niej wyjątkowo podły morderca dostanie, na co zasłużył. — I zmierzając do hallu, dodał: — Chociaż nadal nie znaleźliśmy ciała.

— Och, to proste! — zapewniła go Klarysa. — Proszę zajrzeć do łóżka w pokoju gościnnym.

Inspektor zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na nią z dezaprobatą.

— No wie pani...

Klarysa wpadła mu w słowo.

— Dlaczego nikt nigdy mi nie wierzy? Jest tam, sam pan zobaczy. Leży w poprzek łóżka, pod wałkiem. Panna Peake je tam schowała, bo chciała mi oddać przysługę.

— Chciała...? — Inspektorowi wyraźnie zabrakło dalszych słów. Zrobił kilka kroków w stronę drzwi, po czym zawrócił. — Chyba pani rozumie, jak bardzo utrudniły nam pracę tamte wysrane z palca opowieści. Pewnie podejrzewała pani męża i próbowała zapewnić mu alibi, ale nie powinna pani tego robić, naprawdę.

Pokręcił z naganą głową i wyszedł z pokoju. Klarysa wydała okrzyk oburzenia, ale zaraz przypomniała sobie o dziewczynce.

— Och, Pippo...

— Najlepiej zaprowadzić ją do łóżka — poradził sir Rowland. — Już nic jej nie grozi.

— Chodź, kochanie — przemawiała łagodnie Klarysa, poklepując ją lekko. — No, hop... Czas do łóżka.

Pippa wstała, ale nogi się pod nią trzęsły.

— Głodna jestem — mruknęła.

— Tak, tak, wiem. Chodź, zobaczymy, co uda nam się znaleźć — namawiała dziewczynkę macocha, prowadząc ją do drzwi.

— Dobranoc, Pippo! — zawołał za nimi sir Rowland.

— Doo...branoc — odpowiedziała między jednym ziewnięciem a drugim.

Starszy pan zasiadł przy stole i zaczął układać karty w pudełku. Do pokoju wszedł Hugo.

— Na mą duszę! — wykrzyknął. — Nigdy w życiu bym w to nie uwierzył. Żeby młody Warrender... Wydawał się taki porządny, skończył dobrą szkołę, znał właściwych ludzi...

— Ale to go nie powstrzymało od morderstwa dla czternastu tysięcy funtów — zauważył spokojnie sir Rowland. — Takie rzeczy zdarzają się w każdej klasie społecznej. Atrakcyjna osobowość bez żadnych zasad moralnych.

Pani Brown wsunęła głowę przez drzwi.

— Chcę panu coś powiedzieć, sir Rowlandzie — oświadczyła, powracając do dawnej obcesowości. — Wybieram się na policję, chcąc, żebym złożyła zeznanie. Nie bardzo przypadł im do gustu mój żart i chyba mnie ochrzanią.

Zaśmiała się rubasznie i zniknęła.

Hugo patrzył za nią przez chwilę, a potem usiadł koło sir Rowlanda przy stole.

— Wiesz, Roly, wciąż jeszcze nie wszystko chwytam. Czy panna Peake jest panią Sellon, czy też pan Sellon był panem Brownem? A może jeszcze inaczej?

Sir Rowlanda od udzielenia odpowiedzi uratowało wejście inspektora, który wrócił po czapkę i rękawiczki.

— Właśnie wynosimy ciało — oznajmił i po chwili dodał: — Sir Rowlandzie, mógłby pan przemówić do rozsądku pani Hailsham-Brown. Jeśli nadal będzie opowiadać policji takie niestworzone historie, to pewnego dnia wpadnie w prawdziwe kłopoty.

— Przecież raz powiedziała prawdę. Ale właśnie wtedy pan jej nie uwierzył.

Inspektor stropił się nieco.

— Tak... hm... — mamrotał, ale szybko znalazł argument. — Mówiąc szczerze, to było dość trudne do uwierzenia.

— Oczywiście, przyznaję.

— Nie mam do pana pretensji. Pani Hailsham-Brown potrafi być dość przekonująca... Cóż, dobranoc panom.

— Dobranoc, inspektorze.

Po jego wyjściu Hugo ziewnął.

— Chyba już pójde do domu — oświadczył. — Ale wieczór, co?

— Tak, rzeczywiście — zgodził się sir Rowland, porządkując stół. — Dobranoc.

Zgodnie z zapowiedzią Hugo opuścił pokój, sir Rowland zaś, ułożywszy starannie karty i notesy, umieścił "Who's Who" z powrotem na półce. Z hallu nadeszła Klarysa i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Kochany Roly! Cóż ja bym bez ciebie zrobiła? Jesteś taki mądry!

— A ty masz mnóstwo szczęścia. Dobrze, że nie oddałaś serca temu młodemu zbrodniarzowi.

Klarysa aż się wzdrygnęła.

— Bez obawy! — I uśmiechając się czule, dodała: — Gdybym miała dla kogoś zgubić serce, to chyba tylko dla ciebie.

— No, no, daruj sobie te sztuczki. Gdybyś...

Urwał, gdyż przez ogrodowe drzwi wszedł nagle Henry Hailsham-Brown.

— Henry! — wykrzyknęła zaskoczona Klarysa.

— Witaj, Roly — odezwał się pan domu. — Myślałem, że poszliście do klubu.

Sir Rowland nie czuł się zdolny do szczegółowych wyjaśnień.

— No... tak się złożyło, że wróciłem wcześniej. To był dość męczący wieczór.

Henry zerknął na stolik.

— To brydż tak was zmęczył? — dopytywał się żartem.

— Brydż i... parę innych spraw — rzekł wymijająco sir Rowland, zmierzając ku drzwiom. — Dobranoc, kochani.

Klarysa posłała mu całusa, który został odwzajemniony. Następnie zwróciła się do męża:

— Gdzie Kalendorff... to znaczy, pan Jones?

Henry rzucił teczkę na sofę i odrzekł niechętnie:

— Można dostać szau. Po prostu nie przyleciał.

— Co? — Klarysa nie wierzyła własnym uszom.

— Samolot wylądował, ale wysiadł z niego tylko jakiś niedowarzony adiutant — wyjaśnił Henry, rozpinając płaszcz.

Żona wzięła od niego okrycie, on zaś mówił dalej:

— Potem zrobił w tył zwrot i odleciał tam, skąd przybył.

— Dlaczego, na miłość boską?

— Skąd mogę wiedzieć? — Henry ledwie hamował złość. — Coś podejrzewał, ale co? Kto wie?

— A co z sir Johnem?

— To jest najgorsze ze wszystkiego! — warknął, zdejmując kapelusz. — Było za późno, żeby go powstrzymać, więc zjawi się tu lada chwila! — Zerknął na zegarek. — Oczywiście, jeszcze z lotniska zatelefonowałem na Downing Street, ale sir John już wyruszył. Och, cała ta sprawa to jedna wielka porażka!

Opadł z westchnieniem na sofę i w tym momencie zadzwonił telefon.

— Odbiorę — powiedziała Klarysa. — To może być policja. Henry rzucił jej pytające spojrzenie.

— Policja?

— Tak, tu Coplestone Court — mówiła do telefonu jego żona. — Tak... tak, zaraz poproszę. Do ciebie, kochanie! Z lotniska Bindley Heath.

Henry rzucił się w stronę aparatu, ale w połowie drogi przystanął i dalej szedł powoli i z godnością.

— Halo?

Klarysa odniosła do hallu jego płaszcz i kapelusz, ale natychmiast wróciła i stanęła z tyłu.

— Tak... to ja. Co?! Za dziesięć minut? Czy mam... Tak... Tak, tak... Nie... Nie, nie... Ma pan... Rozumiem. Tak... W porządku. — Odłożył słuchawkę i ryknął: — Klaryso! — Zaraz jednak zauważył, że żona stoi tuż obok, i dodał, znacznie spokojniej: — Ach, tutaj jesteś. Wyobraź sobie, że dziesięć minut po tym pierwszym wylądował następny samolot. I Kalendorff nim przyleciał.

— Chciałeś powiedzieć: pan Jones.

— Całkiem słusznie, kochanie, nigdy dość ostrożności. Zdaje się, że ten pierwszy samolot to po prostu środek ostrożności. Doprawdy, trudno przeniknąć, co tym ludziom roi się w głowach. No, ale tak czy inaczej, przywiozą go tu zaraz razem ze świtą. Mają być w ciągu kwadransa, więc sprawdź, czy wszystko w porządku. — Zerknął na stół. — Schowaj te karty, dobrze?

Klarysa pośpiesznie zabrała karty i notesy, Henry zaś podszedł do drugiego stolika i ze zdumieniem podniósł talerz po kanapkach i brudną salaterkę po kremie.

— A to co takiego?

Żona wyrwała mu oba naczynia z rąk.

— Pippa tu jadła, zaraz to wyniosę. I chyba muszę przygotować nowe kanapki.

— Za chwilę... Patrz, te krzesła są porozwlekane po całym pokoju. Myślałem, że wszystkiego dopilnowałaś — mówił z wyrzutem, składając stolik do kart. — Co robiłaś przez cały wieczór?

— Ach, Henry! — wykrzyknęła, ustawiając krzesła na miejscach. — To był najkoszmarniejszy wieczór w moim życiu. Bo wiesz, przychodzę tu z kanapkami, i nagle potykam się o trupa. Tam leżał, za sofą.

— Tak, tak, kochanie — mruknął z roztargnieniem, pomagając jej przy krzesłach. — Ty zawsze masz w zanadru takie urocze historie, ale teraz naprawdę nie mamy czasu na...

— Ależ to prawda! I opowiedziałam ci zaledwie początek. Przyjechała policja, a potem to już się potoczyło — paplała wesoło. — Jakieś narkotykowe powiązania i panna Peake to wcale nie panna Peake tylko pani Brown, i Jeremy okazał się mordercą, i próbował ukraść znaczek wart czternaście tysięcy funtów.

— Hm... więc musiał być jeszcze drugi złoty szwed — zauważył pobłaźliwie Henry, niezbyt uważnie jej słuchając.

— No właśnie!

— Ależ ty masz wyobraźnię — rzekł z czułością, ustawiając stolik między fotelami i ścierając okruszki chusteczką.

— To wcale nie wyobraźnia! — upierała się Klarysa. — Nie umiałabym wymyślić czegoś takiego.

Henry wetknął teczkę za poduszkę, wyklepał drugą, trzecią zaś przeniósł na fotel. Klarysa na próżno próbowała przyciągnąć jego uwagę.

— To wprost niesamowite! Przez całe życie nie spotkało mnie właściwie nic niezwykłego, a dzisiaj aż tyle... Morderstwo, policja, narkotyki, niewidzialny atrament, sekretne zapiski, poza tym omal sama nie postradałam życia i mało brakowało, a wyładowałabym w więzieniu, oskarżona o zbrodnię...

— Idź, kochanie, do kuchni i zaparz kawę, dobrze? Jutro opowiesz mi resztę tej bajeczki.

Klarysa popatrzyła na niego z desperacją.

— Czy nie dociera do ciebie, że omal mnie dziś nie zabito? Henry zerknął na zegarek.

— Lada chwila któryś się tu zjawi.

— Co ja tu dziś przeżyłam! Ach, to mi przypomina Waltera Scotta.

— Co? — spytał z roztargnieniem, ogarniając wzrokiem pokój.

— Ciotka kazała mi nauczyć się tego na pamięć:

“Ach, jakież pajęczyny tkamy,

Kiedy się raz w oszustwo wdamy”^{*}.

Nagle uświadomiwszy sobie obecność żony, otoczył ją ramieniem.

— Mój kochany pajęczek!

Klarysa położyła mu ręce na ramionach.

— Czy wiesz, co robią pajęczyce? Zjadają swoich mężów!

— Już prędzej sam bym cię schrupał — odrzekł, całując ją namiętnie.

Nagle zabrzączał dzwonek.

— Sir John! — wykrztusiła Klarysa, odsuwając się od męża.

— Pan Jones! — krzyknął jednocześnie Henry.

— Idź otworzyć. — Wypchnęła go do hallu. — Kawę i kanapki postawię przy drzwiach, zabierzesz, kiedy uznasz za stosowne. Zaraz zaczną się rozmowy na wysokim szczeblu. Powodzenia, kochany!

— Powodzenia — powtórzył machinalnie. — Nagle obejrzał się przez ramię. — To znaczy, dziękuję! Ciekawe, który przyjedzie pierwszy.

Poprawił sobie krawat, zapiął marynarkę i wyszedł.

Klarysa zabrała naczynia i ruszyła w stronę hallu, ale zatrzymała się, słysząc kordialne powitanie: “Dobry wieczór, sir John!”. Po krótkim namyśle podbiegła do regału i nacisnęła dzwignię.

— Klarysa znika w tajemniczy sposób — zadeklamowała scenicznym szeptem, chowając się do wnęki.

Sekundę później Henry wprowadził do salonu premiera Wielkiej Brytanii.

^{*} Po zerwaniu Henryka VIII z Kościołem katolickim w wielu domach ukrywano księży, którzy odmówili przyjęcia nowej religii (przyp. tłum.).

^{*} KCB — Knight Commander of the Bath — Komandor Orderu Łaźni; MVO — Member of the Royal Victorian Order — Członek Królewskiego Orderu Wiktoriańskiego (przyp. tłum.).

* Walter Scott: "Marmion" (przyp. tłum.)